

MODLITWA WEWNĘTRZNA I ZEWNĘTRZNA

Przez modlitwę uzyskujemy kontakt ze światem Ducha, z własnym aniołem stróżem, z bliskimi, którzy odeszli z tego świata, z zastępami świętych i aniołów i z samym Bogiem. Niektórzy chrześcijanie żywią nabożeństwo tylko do samego Boga, do Niego się tylko zwracają w modlitwie. Inni słusznie uważają, że jeśli wolno prosić kogoś ze znajomych przebywających na tym świecie o doradzenie czegoś, o jakąś pomoc, to wolno też zwracać prośby do stworzeń nie bytujących w świecie materialnym, między innymi do zmarłych, zwłaszcza tych, których życie na ziemi było budujące. Czy jeśli potrzebuję kubka na wodę, mam prosić Boga, aby mi go w jakiś cudowny sposób dostarczył? Raczej poproszę odpowiedniego człowieka o sprzedaż, pożyczanie lub darowanie kubka. Podobnie gdy idzie o jakąś radę w trudnej sytuacji życiowej, lub o jakiś dar duchowy, nie zawsze muszę do tego wzywać Najwyższego. Stąd nabożeństwo do świętych, do istot anielskich, i do istot ponadhierarchicznych. Stąd świadomość stałej gotowości do pomocy naszych aniołów stróżów, stąd kult wielkich świętych.

Nabożeństwo oznacza stan wielkiego szacunku, uwielbienia kogoś; przede wszystkim - ale nie tylko - uwielbienia samego Boga. Może się przejawiać odpowiednimi obrzędami publicznymi lub jako osobiste nabożeństwo wyrażać w prywatnej modlitwie. Zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku nabożeństwo, nabożność ma dwie strony - wewnętrzną, duchowo - myślną i zewnętrzną wyrażającą się w słowach i gestach. Powinien istnieć wzajemny, właściwy stosunek jednej do drugiej. Wszelka skrajność, wszelkie nieumiarkowanie bywa niebezpieczne.

Weźmy pod uwagę publiczne nabożeństwa kościelne. Czasem oceniamy w nich tylko estetyczne przeżycie. Wtedy zależy nam na ładnym wnętrzu kościoła czy kaplicy, na dobrym organistcie, chórze, dobrym zespole instrumentalnym, na przyjemnym zapachu kadzidła, na gładko wypowiedzianej nauce kaznodziei. W jakim nastroju trwają uczestnicy nabożeństwa, o czym myślą, co przeżywa celebrians, wydaje się nam obojętne. Wychodzimy z nabożeństwa tak, jak się wychodzi z przyjemnego koncertu czy z przedstawienia, dodatkowo z przekonaniem, że to było właściwe oddanie należnej czci Bogu. Tak przekonani, chętnie będziemy do nabożeństw włączać dodatkowe ozdobniki w postaci różnych sztucznie wymyślonych gestów, prowadzenia przez wnętrza kościelne pochodów, korowodów, wspólnych deklamacji, osobliwego oświetlenia i innych rzeczy nie mających umotywowania w duchowej treści kultu. Puste formy zewnętrzne nie ułatwią nam głębszych przeżyć wewnętrznych.

Przeciwnie, gdy uważamy, że ważne jest wyłącznie wewnętrzne usposobienie uczestników nabożeństwa, ich duchowe skupienie, wtedy wnętrza pomieszczenia może być dla nas nie zadbane, organy lub inny instrument nie nastrojony, organista bez słuchu, z kadzidła gotowi jesteśmy w ogóle zrezygnować. Najchętniej upraszczalibyśmy też coraz bardziej obrzędy kościelne. I mielibyśmy o tyle racji, że istotą nabożeństwa jest jego wewnętrzna strona duchowa, ale zarówno brak zewnętrznych form jak i nieestetyczne ich wykonanie, utrudnia skupienie, utrudnia duchowe wzniesienie i właściwe przeżycie nabożeństwa.

W ten sposób ze Mszy Świętej można usunąć kadzidło, śpiew, szaty liturgiczne (przecież Msza będzie i bez nich ważna), wymawianie określonych słów, z początku słów „małoważnych”, aż w końcu wszystkich bez wyjątku. Przecież Bóg jest wszędzie, więc wystarczy się w skupieniu myślami zjednoczyć z Bogiem. Tak ewoluowało nabożeństwo kwaków. Od ewangelickiego nabożeństwa komunijnego przez kolejne ograniczanie „niepotrzebnych” rytuałów doprowadzono do tego, że wierni spotykają się dziś w pustym wnętrzu i przez godzinę - często w zupełnym milczeniu - medytując, przeżywają obecność Bożą. Każdy, kto współprzeżył takie kwakerskie nabożeństwo wie, że jest ono piękne i wzniosłe, ale aktywny udział w nim jest trudny, mało kogo potrafi ono przyciągnąć.

Podobnie jest z nabożeństwem indywidualnym do Boga lub innych mieszkańców nieba. Możemy powiedzieć, że istotą indywidualnego nabożeństwa, jest wzniesienie się myślą, uczuciem i

wolą do Ducha. Więc czasem chcielibyśmy zupełnie wyeliminować przepisane teksty modlitw oraz wyznaczone pory ich odmawiania. Czemu mamy powtarzać za każdym razem słowa „Ojcze nasz” lub „Zdrowaś”? Dlaczego mamy się modlić właśnie rano po obudzeniu i wieczorem przed zaśnięciem? Czy nie lepiej, jeżeli pomyślimy o Bogu wtedy, kiedy nam przychodzi natchnienie? Czy nie lepiej, jeśli oddamy Bogu, aniołom i świętym cześć własnymi myślami? Pozornie mamy rację tak myśląc. Modlitwa w stałych porach dnia, modlitwa określonymi słowami psalmów, tekstów z Pisma Świętego lub formułami ułożonymi w Kościele, jest potrzebna przede wszystkim po to, aby dać okazję do modlitwy wewnętrznej, myślniej. Czasem ten sam pacierz zmienia się w piękną wewnętrzną modlitwę, czasem bywa tylko przypomnieniem, że powinniśmy się wznieść duchem, czego w danej chwili nie potrafimy zrobić. (ale gdy tak właśnie pomyślimy, już nastąpiło pewne duchowe wzniesienie). Jednak każdy, kto uległ pokusie zaniechania stałych ćwiczeń w określonych porach dnia i osobiste nabożeństwo sprowadził wyłącznie do wzlotów ducha w chwilach, gdy ogarnia go natchnienie, spostrzeża po pewnym czasie, że te chwile stają się coraz rzadsze, że zamiast zamierzonego wyrwania się z „płytkiej dewocji klepania pacierzy” i zdobycia wyższego rozwoju ducha, popada w obojętność. Wtedy wraca do systematycznych modlitw lub innych ćwiczeń duchowych, albo traci więc ze światem Ducha.

Ale nie jest lepiej, gdy główny sens osobistego nabożeństwa do Boga i niebiańskich dworzan widzimy w systematycznym odmawianiu określonych tekstów modlitewnych, gdy zapominamy, że wymawiane słowa są tylko przypomnieniem o potrzebie duchowego wzniesienia. Gdy widzimy istotę modlitwy w ładnym świętym obrazku, przed którym ją zanosimy i w brzmieniu słów, które wymawiamy, wtedy i święte wyobrażenie i wzniosłe słowa stają się nam zasłoną odgradzającą nas od Boga i Jego spraw. Zwłaszcza epoka baroku, lubująca się w ozdobnych ołtarzykach i takich że ramkach do przesłodzonych, pobożnych obrazków oraz w rozbudowywaniu kwiecistych, zamglonych tekstów modlitewnych, pięknych same w sobie, za którymi stoją podrzędne treści duchowe,

dokonała spustoszenia w ludzkich duszach i przygotowała najciemniejszy okres materializmu wieku XVIII i XIX. Niestety ten barok do dziś przetrwał w wielu zachowaniach, modlitewnikach i dziełach religijnej sztuki. Bywa on do dziś powodem pojawiania się ludzi zamarłych duchem, choć pobożnych ciałem. Czasem trzeba głębokiego wstrząsu, aby dusze takich ludzi wskrzesić do życia.

Pamiętajmy: formy zewnętrzne i ich systematyczne praktykowanie są potrzebne do stałego wprowadzania się w nastrój zbliżenia do Boga. Tylko najsilniejsze duchy mogą się i bez nich - w razie konieczności - obyć. Ale istotną treścią każdego nabożeństwa jest wzniesienie myśli, uczuć i woli człowieka ku Duchowi.

brat Paweł

=====

*Moleben*¹

*Panie Boże
o zielonych oczach
z cukierkowych obrazków
z migdałowych litanii*

*Boże
ślepców
Boże
głupców
- trzeźnij mnie porządnie w łeb*

Tomasz Mames

¹ Moleben - krótkie nabożeństwo modlitewne w obrządku bizantyjskim - wyraz staroцеркiewнословіаński (przypisek redakcji).

...Na chrzcie świętym... nadane zostały ...imiona Feliksa Magdalena

Czytający pełny wypis aktu urodzenia Mateczki dowiaduje się, że późniejsza Założycielka zgromadzeń mariawickich urodziła się w Wieliczej, należącej do parafii Stoczek Węgrowski w dniu 7 V 1862 roku o godzinie 9 rano. Rodzicami pierwotnego i jedyne w tym małżeństwie dziecka byli Jakub i Anna Kozłowscy. Dziecku temu na chrzcie świętym w kościele parafialnym w tymże Stoczku w dniu 19 IV 1862 roku nadane zostały dwa imiona: Feliksa Magdalena. Dziewczynka urodziła się w zubożałej rodzinie szlacheckiej, ale z uwagi na powinowactwo z dość dobrze sytuowanym rodem Pułaskich, mogła mieć zapewnioną spokojną przyszłość. W niedługim czasie po narodzinach, w dziewiątym miesiącu życia, nieświadome jeszcze rzeczywistości dziecko dotyka pierwszą tragedię. Ojciec - Jakub Kozłowski - ginie w bitwie powstańczej pod Węgrowem, a matka wraz z dzieckiem zostaje skazana na tułaczkę po domach rodzinnych.

Dorastająca w atmosferze lęku przed prześladowaniami ze strony zaborcy, w domu opiekuńczych kuzynów, ale jednak nie swoim, dziewczynka dość szybko pojęła, że nie jest jej pisane beztroskie dzieciństwo. Nie można wykluczyć, że właśnie doświadczenia dzieciństwa miały wpływ na formację duchową i intelektualną dorastającej Feliksi Kozłowskiej. Pólsieroctwo - mimo wspomnianej opieki kuzynów - zapewne spowodowało swoiste refleksje pogłębiające się z biegiem lat. W konsekwencji bardzo wcześnie w umyśle młodej Kozłowskiej rodziły się pytania odnoszące się do sensu życia, a wrodzona i pogłębianą przez wychowanie pobożność, kierowały jej zainteresowania ku sprawom

Ducha. Przeżycia i przemyślenia sprawiły, że nawiązała realny, duchowy kontakt z Bogiem, pogłębiany przez ćwiczenia duchowe w okresie gimnazjalnym. Była to specyficzna dla wybranych Bożych więź ze Stwórcą, niełatwo dostępna dla innych. W umyśle młodej kobiety powstaje w tej sytuacji przekonanie, że celem jej jest poświęcenie się życiu zakonnemu, a w konsekwencji Bogu. Pokonując wiele trudności związanych z administracyjnymi przeszkodami staje się zakonnica, a następnie założycielką i przełożoną zgromadzenia Sióstr Ubogich Świętej Matki Klary. Moim zdaniem, w tym momencie Feliksa Kozłowska (w zakonie Maria Franciszka) zakończyła realizację swego powołania formalnego. Odpowiedziała na głos Boga i związała się z Nim ślubami zakonnymi. To zapewne był ważny etap w życiu i zarazem - rozumując po ludzku - zakończenie przygotowań do głównej roli, którą miał Jej powierzyć Bóg.

W pełni dojrzałego rozwoju fizycznego, w 31. roku życia, ukształtowana duchowo młoda zakonnica w sierpniu 1893 roku otrzymuje pierwsze Boże Objawienie wyższego typu od przeżyć, które miała, od lat dziecięcych. Zostaje powołana do spełnienia najważniejszej roli przeznaczonej Jej na ziemi: ma przekazać ludzkości Boże wskazania na czasy przełomu (czasy ostateczne) oraz uświadomić duchowieństwu, że narusza ono wymogi stawiane przez Boga stanowi kapłańskiemu. Miała przekazać duchownym Boże ostrzeżenie oraz wykazać konsekwencje, jakie nastąpią, jeżeli nie naprawią swego życia. Przekazać wezwanie do przywrócenia stanowi kapłańskiemu świadomości treści danych przez Jezusa Chrystusa, źródła nowego kapłaństwa. Te objawienia (trwające przez 25 lat) jak to ostatnio zauważył Tomasz Mames analizujący osobowość Feliksi Kozłowskiej jako mistyczki¹, spowodowały u niej przebudowę systemu wartości i potrzeb. Nieznana szerokim kręgom, pokorna i cicha zakonnica, doskonaliła wraz z grupą zakonnice wewnętrzne życie duchowe w tajnym zgromadzeniu, wykazała ogromną aktywność, gdy przyszło jej realizować polecenia dane przez Boga. Władysław Ginter analizując tę postać z punktu widzenia psychologa² jednoznacznie stwierdził, że od tego momentu

nie istniały dla Mateczki przeszkody w realizacji dzieł, gdy była przekonana, że pochodzą od Boga. Wykonaniu treści tych objawień poświęciła całe dalsze życie podporządkowując je woli Bożej. Spotkały ją z tego powodu prześladowania i kary kościelne rzadko spotykane w dziejach chrześcijaństwa.

Mateczka - tak nazywana przez zwolenników - była współczesną mistyczką, która osiągnęła wysoki stopień zbliżenia do Majestatu Boga. Nadała mistyce treści nowoczesne, oczyszczając tę dziedzinę życia duchowego od ludzkich naleciałości i przekłamań narosłych czy to ze złego pojmowania mistycyzmu, czy propagowania nieprawdziwych informacji o mistyce. Wykazała swym życiem, że w czasach nowożytnych można i należy praktykować mistykę pozwalającą na jednoczenie z Bogiem. Realizować zaś ją należy przez rzeczywistą cześć dla Eucharystii i wzorowaniu się na życiu ziemskim Matki Bożej. Własnym życiem poświadczała te głoszone nauki. Potrafiła przełamać przekonanie o słuszości zasady pasywnej roli kobiety w Kościele i skupić wokół siebie grono zakonne - żeńskie i męskie - w celu praktykowania życia wskazanego przez Boga w objawieniach. Nie muszę podkreślać, ile wysiłku kosztowało ją przełamanie zasady, że „kobieta milczy w Kościele”. Nie była wyłącznie zakonnicą - mistyczką dystansującą się od spraw życia. Mateczka nie odgradziła się od spraw ziemskich murami klasztorными. Nie była osobą pasywną, kontemplującą i myślącą o swym wybraństwie i wyłącznie o swym zbawieniu. Rolę swą widziała także poza tymi murami w wychodzeniu naprzeciw nędzy ludzkiej i społecznej krzywdzie. Doskonale wiedziała, jak w czasach jej współczesnych tej krzywdzie zapobiegać. Łączyła nauki chrześcijańskie z uczynkami, co powodowało, że żyła pełnią życia człowieka wierzącego, wypełniającego ewangeliczne nakazy Boga.

W ubiegłym roku, w sierpniu, minęła 80. rocznica jej śmierci. Obecnie mija 140. rocznica jej urodzin i chrztu. Narodziny i śmierć - ramy, w których zamknęło się życie kobiety - Wybranki Bożej, która z posłuszeństwa Bogu przyjęła na siebie ogromny obowiązek przekazania światu tego, czego Bóg od człowieka

oczekuje w czasach przełomu. Jesteśmy świadkami zapowiedzianego przełomu i jakby dyspozytariuszami nauk Mateczki. Zdajemy sobie sprawę, że głos Mateczki nie został przyjęty przez ludzkość. Równocześnie widzimy bezradność człowieczą wobec gwałtownych przemian w świecie. Jesteśmy świadkami błędzenia ludzi po omacku wśród problemów dnia powszedniego, problemów zagęszczających się i powiększających przeświadczenie o naszej bezradności wobec nich. Bezradność ta powoduje ucieczkę ludzi od Boga lub zmylenie dróg do Boga prowadzących. Zdajemy sobie sprawę, że upowszechnienie Objawień, jako wskazówek do życia godziwego, jest konieczne. Nie mamy siły cechującej Feliksę Kozłowską w głoszeniu i praktykowaniu treści Objawień. Odpowiadając naszemu ziemskiemu powołaniu do Dzieła Wielkiego Miłosierdzia możemy i musimy jednak nie tylko przechować ten depozyt, ale czerpiąc z niego, dać innym ludziom możliwość poznania woli Bożej. Jest to zadanie trudne i być może nie doroshiśmy do jego ścisłego wypełnienia. Rozważania na ten temat w czasopiśmie mariawickich także nie wystarczą. Rzecz bowiem polega nie na kultywowaniu rocznic, ale na pracy nad własną duchowością i wzorowaniu się w praktyce na tym, czego uczyła Mateczka. Wykorzystanie jednak wspomnianych rocznic związanych z życiem Mateczki do przypomnienia tego, czego uczyła i jak żyła, wydaje się celowe, a nawet konieczne. Praktyka ta może się okazać ważna w propagowaniu treści Objawień Mateczki. Tak bowiem jak nikt z obecnych przy narodzinach i chrzcie Mateczki nie zdawał sobie sprawy, że jest świadkiem wchodzenia w życie Wybranej Bożej, tak też i dziś, przy lekturze artykułów dotyczących Jej życia i dzieła, można nie wiedzieć, że dobudowuje się cegielkę do upowszechnienia Jej Objawień i nauk poza środowiskiem mariawickim. Upowszechnienie to będzie stopniem do przewyżczenia niebezpieczeństw obecnego przełomu według wskazań Mateczki.

siostra Adela

¹T.Mames Maria Franciszka Kozłowska, *osobowość mistyczki*, „Praca nad sobą” z.23, s.8. 2001. (przypisek redakcji).

Etos kapłański

Długa jest droga kazań, krótka - droga przykładów
Seneka

Pragnę nawiązać do artykułów o kapłaństwie, które się ukazały na łamach „Pracy”¹, a także uzupełnić i pogłębić pewnymi rozważaniami. Sądzę, że ta tematyka ściśle związana z objawieniami Mateczki musi się co pewien czas stawać przedmiotem zainteresowania duchowieństwa i wiernych. Podejmowanie jej na łamach czasopism mariawickich jest uzasadnione jasno określoną w tych objawieniach rolą i miejscem kapłaństwa w świecie chrześcijańskim. Niepodważalną jest teza, że zgodnie z objawieniami i naukami Mateczki, z podstawowymi ideami mariawickimi, od kapłana wymaga się swoistego świątobliwego żywota, zdecydowanie różnego od codzienności, z którą spotykają się wierni w praktyce. Każdy chrześcijanin winien dawać dowody wiary przez uczynki (Jk 2;14,17). Kapłan z racji swego powołania ma w życiu nie tylko sprawować sakramenty, być przewodnikiem wiernych i kierownikiem określonej parafii, ale musi praktykowaniem przykładowego życia zaświadczyć o głoszonych ideach. W przeciwnym przypadku nie odpowie powołaniu i utraci przywilej Bożego przyjaciela, jak to określono w objawieniach².

Upłynęło wiele lat od objawień Dzieła Miłosierdzia, a instytucja kapłaństwa niewiele się zreformowała. Na temat ich treści słyszy się nieraz głosy, że są one nie tylko niezgodne z naukami

soborowymi, ale także nierealne. Każdy człowiek jest bowiem grzesznikiem i żądanie od kapłana życia świątobliwego jest błędem. Znani teologowie głoszą tezę, że skoro kapłan jest takim samym człowiekiem jak pozostali wierni, a więc podlegającym grzechowi, to się należy z tym pogodzić. Kapłan, zgodnie z tą tezą, w czasie Mszy Świętej dokonuje przeistoczenia i jest szafarzem ważnych sakramentów bez względu na stan ducha. Tego rodzaju skróty myślowe wymagają szerszego wyjaśnienia.

Nigdzie w objawieniach Mateczki nie ma stwierdzenia, że kapłan jest istotą bez grzechu. Jako człowiek podlega tym samym prawom, które dotyczą innych wiernych; jest więc poddany grzechowi jak każdy członek rodu ludzkiego. Jednak z racji powołania do kapłaństwa ma z dołożeniem szczególnej staranności wieść życie przykładowe, miłe Bogu i wzorowe dla ludzi. Każdy człowieczy upadek kapłan winien zmazać żalem za grzech, pokutą, postanowieniem poprawy i rzeczywistą poprawą, aby przebłagać Boga i uwiarygodnić się w oczach ludzkich. To stwierdzenie budzi dalsze konsekwencje. Oto kapłan ma czynić wszystko, aby się chronić przed grzechem, przed okazją do grzechu. Dlatego w życiu codziennym winien się odróżniać od wiernych uczynkami dokonywanymi nie na pokaz, ale w celu ugruntowania wiary. Jeżeli powiemy, że kapłan jako człowiek podlega wszystkim prawom ludzkim, a równocześnie nie postawimy kapłanowi wymogów co do trybu życia, sprowadzimy kapłaństwo do roli kolejnego zawodu wykonywanego lepiej lub gorzej w zależności od stopnia zaangażowania danego duchownego. Takie stanowisko w kwestii etosu kapłańskiego jest z gruntu fałszywe. Jeżeli bowiem kapłan chce uwiarygodnić głoszone przez siebie nauki, musi na co dzień praktykować życie zgodne z wnioskami z nauk tych wypływającymi. Wśród grzesznej ludzkości, upadającej pod brzemieniem trosk codziennych i poddanej atakom nieprawości, kapłan musi świecić przykładem. W przeciwnym przypadku cała praca kapłana nad duchem panującym wśród członków parafii stanie się bezprzedmiotowa, albo przyniesie rezultaty inne od spodziewanych. Kapłan dla wiernych musi być nie tylko

przykładem, ale osobą zaufania, a potrzebne do tego przymioty zdobywa się tylko przez życie świątobliwe. Ujął to w sposób skondensowany ludowy polityk Wincenty Witos stwierdzając, że >>*ten, który ma prowadzić ludzi do nieba, sam musi świecić dobrym przykładem*<<³. Kapłanowi żyjącemu bezprzykładnie wierni odmówią zaufania, nie otworzą przed nim swego sumienia i nie poproszą o radę duchową. Tę konieczność swoistej „odmienności” kapłana od wiernych i ich życia uwypuklił doskonale Stefan Żeromski w *Przedwiośniu* wkładając w usta Cezarego Baryki następującą kwestię wygłoszoną do księdza Anastazego: >>*Jeść możemy pospołu, gawędzić i urznąć się również, bo ksiądz to lubisz i znasz się na jakości potraw i wartości napojów lepiej ode mnie. Ale skądże pretensja, żeby z takimi kwalifikacjami rządzić tak subtelnym organizmem jak ludzkie, jak moje sumienie?*<<⁴. W tych krótkich stwierdzeniach zawarta jest esencja tego, co zwiemy etosem kapłańskim. Nikt bowiem nie może pouczać innych w sprawach Bożych, gdy sam nie wypełnia nakazów Boga lub nakazy te traktuje formalnie.

Teza o tożsamości życia kapłana i wiernych ma jeszcze inny negatywny wymiar. Oto kapłan formalnie traktujący swe obowiązki duchowe zaczyna, w miarę swych możliwości, prowadzić życie publiczne przez wtrącanie się do polityki tak na szczeblu prowincjonalnym, jak i w centrum. Praktykę tę uzasadnia się obowiązkiem kapłańskim przestrzegania ludzi przed grzechem. Należy pamiętać, że co innego jest publiczne nawoływanie do życia prawego, a co innego włączanie się w sprawy polityki. Inną rzeczą jest głosić Ewangelię, a inną uprawiać zewnętrzną politykę. Zapomina się, że Pan Jezus bardzo mocno podkreślał, że królestwo Jego nie jest z tego świata (J 18;36) i że trudno jest tym, co kochają bogactwa ziemskie (a do tego należy i ziemską władzę) wejść do Królestwa Bożego (Mk 10;24). Wielu duchownych postępuje jednak odmiennie i każdy dzień przynosi nowe fakty okazujące, czym jest postępowanie kłójące się z nakazem Bożym. Stąd w środowiskach ludzi świadomych tego rozdziewu między naukami kościelnymi a praktyką, budowana jest teza, że Kościołowi

potrzebne jest politykowanie. Jest tak, jakby duchowni poza polityką nie mieli niczego innego do ofiarowania ludziom i jej uprawianiem ratowali się od marginalizacji społecznej⁵. Pogoń za sławą w ludzkim rozumieniu przysłania wielu duchownym cel, dla którego przyjęli „jarzmo kapłaństwa”. Ku zdziwieniu i nawet zgorszeniu wielu, duchowni zapominają nawet przestrogi z operetki Johanna Straussa *Baron Cygański*, że „*że wielka sława to żart; księżę błazna jest wart*”. Jakże często obserwatorom życia kleru nasuwa się wniosek znany z Dostojewskiego, że Bóg jest im zbędny, bo przeskadzający⁶. Są to słowa gorzkie i zarazem niezmiernie symptomatyczne. Jeśli się zastanowimy nad ich treścią, zauważymy że potwierdzają zapis w objawieniach Mateczki o odwróceniu się Boga od kapłanów, a w konsekwencji o upadku stanu kapłańskiego⁷. Dlatego pominięcie w życiu kapłańskim duchowości, spłylenie wartości kapłaństwa przez uznanie go za mające się wyróżniać uświęceniem jedynie w trakcie sprawowania czynności sakralnych, prowadzi nie tylko do naruszenia Bożych nauk, do umniejszenia wartości kapłaństwa, ale i do postępującej laicyzacji wiernych, a tym samym do odstępstwa od Boga. Za ten stan rzeczy winić trzeba tych, którzy etos kapłański spłycili i nadali mu sens wybiórczy. Konieczne jest - jak to wynika z objawień Mateczki - abyśmy wszyscy, w tym i kapłani, nasze pobożne praktyki ożywił duchem Chrystusowym i wszystko czynili w zjednoczeniu z Chrystusem. Kapłan, który podnosi do modlitwy ręce zmażane grzechem, ściąga przekleństwo na to miejsce, gdzie jest. Jednoznacznie, negatywne uczucia budzą fakty koncentrowania się duchownych na sprawach finansowych i działalności gospodarczej orientowanej na zysk. Przykładów takich jest z każdym rokiem więcej i nie są one budujące dla wiernych⁸. Duchowny biznesmen nie jest w stanie pogodzić kapłaństwa z interesami materialnymi, ponieważ nie są do pogodzenia żywioły przeciwne sobie. Każdy duchowny winien mieć na uwadze słowa Pana Jezusa, że „*żaden sługa nie może dwom panom służyć, gdyż albo jednego będzie nienawidził, a drugiego miłował, albo z*

tamtym będzie trzymał, a tym wzgardzi. Nie możecie służyć Bogu i mamonie” (Łk 16:13).

Ma rację pogański filozof Seneka twierdząc, że najlepsze pod względem formalnym i merytorycznym kazania i pouczenia nie spowodują tego, co dobre uczynki i przykładowe życie kaznodziei. Przywołam tu przykład świętego Franciszka z Asyżu, który nie będąc kapłanem, nie pełniąc ważnej roli w społeczeństwie, porywał własnym przykładem do Boga dusze wielu mu współczesnych. W gronie zauroczonych życiem i naukami franciszkanymi znaleźli się biedni i bogaci, intelektualiści i ludzie prości. Ewenementu tego do dziś wyjaśnić po ludzku nie można. Wszelkie rozbieżności zaś między tym, co kapłan głosi, a tym co czyni w życiu, spowodują odpowiedź wiernych odwołujących się do nauk Jezusa Chrystusa. „Lekarzu, ulecz samego siebie” (Łk 4:23). Dopiero potem możesz mieć prawo do pouczenia innych.

brat Józef

¹ Andrzej Wiśniewski *Być kapłanem* „Praca nad sobą” z.1 s.9; brat Józef *Kapłaństwo w objawieniach Mateczki* tamże z.23 s.6-7.

² *Początek zawiązku*, akapit 29. i *Pierwotny tekst* akapit 16. (w wydaniu krakowskim Feliksa Maria Franciszka Kozłowska *Objawienia Dzieła Miłosierdzia Bożego*, Kraków 1995 odpowiednio s.29 i 65.).

³ Wincenty Witos *Moje wspomnienia*, Paryż 1964, t.I s.209

⁴ Stefan Żeromski *Przedwiośnie*, Wrocław 2001, s. 272.

⁵ Bronisław Łagowski *Rok dwunasty*, „Przegląd” nr 41. 8 X 2001, s.67

⁶ Fiodor Dostojewski *Bracia Karamazow (Legenda o Wielkim Inkwizytorze)*, Warszawa 1978, s. 298-320.

⁷ *Notatki rekolekcyjne* akapit 11. (w wydaniu krakowskim Feliksa Maria Franciszka Kozłowska *Objawienia Dzieła Miłosierdzia Bożego*, Kraków 1995 s. 106-107).

⁸ Mirosław Ikonowicz, Paweł Dybicz *Kasa Kościoła* „Przegląd” nr. 48, 26 XI 2001 s.15-20

=====

Dwugłos o arcybiskupie Janie M. Michale Kowalskim

1. Rozważania w rocznicę śmierci.

I

W maju bieżącego roku minęła 60. rocznica śmierci w komorze gazowej obozu koncentracyjnego w Dachau arcybiskupa Jana Marii Michała Kowalskiego. Uważam, że rocznica ta uzasadnia fragmentaryczną bodaj ocenę tego człowieka. Fragmentaryczną dlatego, że wokół jego postaci nawarstwiło się przez lata wiele informacji bardzo rozbieżnych. Odniesienie się do nich w jednym artykule jest niemożliwe. W zalewie wiadomości często gubiono pozytywne jego dokonania, akcentując ludzkie upadki. Wobec tego konieczne jest wykazanie, że nie był on czarnym charakterem, skazanym na wyłącznie pejoratywne oceny. Dziś wielu pragnęłoby spuścić na jego sylwetkę zasłonę zapomnienia i to tak ze strony zwolenników, jak i przeciwników. Wszyscy oni bowiem musieliby się przyznać do błędów w traktowaniu działań arcybiskupa Kowalskiego. Do błędów zaś przyznawać się trudno. Usiłowanie spuszczenia zasłony zapomnienia będzie jednak chybione, a do wspomnienia tego człowieka zawsze ktoś wróci, łatwiej stosując stereotypy, niż rzetelną miarę. Autor niniejszego opracowania nie twierdzi, że dokonuje oceny obiektywnej, szczególnie, że - wywodząc się z grona mariawitów płockich - nie będzie mógł łatwo pokonać pewnej bariery psychicznej, która w tym środowisku mariawickim panuje. Jednak będzie usiłował na tę sylwetkę człowieka bezspornie nieprzeciętnego spojrzeć okiem nie fanatyka. Na ile ten zamiar się uda, uznają czytający to opracowanie.

II

Tradycją jest, że opisy życia i działań ludzi zaczyna się od ich zyciorysów. Dla wielu zyciorys arcybiskupa Kowalskiego - nawet w skrócie - jest nieznan. Dlatego uzasadnione będzie pokazanie w pierwszym rzędzie najważniejszych wydarzeń z życia tego bliskiego współpracownika Mateczki.

Jan Kowalski urodził się 26 XII 1871 w Latowiczu (powiat Miński Mazowiecki). W 1889 roku ukończył gimnazjum w Warszawie i w tymże roku wstąpił do warszawskiego metropolitalnego seminarium duchownego. Po ukończeniu czteroletniego kursu seminaryjnego (z zakresu teologii i filozofii) w roku 1893 został skierowany przez władze metropolitalne na studia do Akademii Teologicznej w Petersburgu. Jan Kowalski studiował w tej uczelni do 1897 roku uzyskując tytuł magistra świętej teologii.

Przed zakończeniem studiów, 24 IV 1897 został przez rektora Akademii arcybiskupa Symona wyświęcony na kapłana. Młody duchowny, po powrocie do macierzystej archidiecezji warszawskiej był wikarym w parafiach w Łodzi i Warszawie. Jak wynika z własnych zapisków księdza Kowalskiego, pędził on w tym czasie życie nie odbiegające od ówczesnych standardów przeciętnego polskiego duchownego. Była to egzystencja zbliżona do życia ludzi świeckich. W czasie pracy w parafiach warszawskich ksiądz Kowalski poznał ruch mariawicki i w 1900. roku wstąpił do Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów. Jako zakonnik mariawicki ksiądz Jan Kowalski otrzymał imiona zakonne Maria Michał. Od początku członkostwa w Zgromadzeniu przejawiał ogromną aktywność tak w zakresie własnego rozwoju duchowego, jednania nowych członków, jak i w zakresie spraw organizacyjnych. Był uczestnikiem delegacji kapłanów mariawitów zabiegających o legalizację zgromadzenia do diecezjalnych władz kościelnych, do Rzymu i do władz świeckich w Petersburgu. Podczas prześladowania kapłanów mariawitów - jeszcze w łonie Kościoła Rzymskokatolickiego - dyscyplinarnie przeniesiony był na stanowisko kapelana w zakładzie wychowawczym w Warszawie za Rogatką Mokotowską, a następnie, w 1903 roku objął obowiązki proboszcza w Niesułkowie powiatu brzezińskiego. Na Kapitule Generalnej Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów w Rzymie 6 VIII 1904 wybrany został ministrem generalnym. Z uwagi na dalszy udział w życiu mariawickim karnie przeniesiony do parafii Sobótka powiatu łączyskiego, a następnie zasuspendowany i usunięty z parafii 27 I 1906.

W dniu 30 I 1906 kapłani mariawici, nie mogąc uzyskać legalizacji w Rzymie, wznawiają rozwiązane decyzją papieską Zgromadzenie Mariawitów. Konsekwencją tego była imienna (wraz z Mateczką) ekskomunika większa księdza Kowalskiego dokonana przez watykańską kongregację Świętego Oficjum z dnia 5 XII 1906. Po rozłamie z Kościołem rzymskim ksiądz Jan Kowalski zostaje wybrany 10 X 1907 przez 32 kapłanów mariawitów przy udziale świeckich reprezentantów każdej parafii, która opowiedziała się za mariawityzmem (po dwie osoby świeckie), na stanowisko ministra generalnego całego Związku Religijnego Mariawitów, czyli praktycznie na kierownika nowej organizacji kościelnej. Następnie zostaje pierwszym biskupem Kościoła Mariawitów. Sakrę otrzymał od biskupów starokatolickich Unii Utrechckiej 5 X 1909. Konsekracja

biskupa Kowalskiego w Utrechcie była wynikiem przyjęcia nowopowstałego Kościoła Mariawitów do grona kościołów starokatolickich.

Działając przy boku Marii Franciszki Kozłowskiej biskup Jan M. Michał Kowalski pracował do I wojny światowej nad stworzeniem organizacji wewnętrznej nowego Kościoła. Położył ogromne zasługi (projektanckie i organizacyjne) przy budowie Świątyni w Płocku. W czasie I wojny światowej dokładał starań, aby zachować organizację i majątek kościelny. Z polecenia Mateczki był głównym nauczającym w okresie mariawickiego roku jubileuszowego (1918). Przy jego wydatnym udziale (organizacyjnym i merytorycznym) ukazywały się czasopisma mariawickie i inne wydawnictwa religijne, przeprowadzono misje (rekolekcje) dla wiernych, zdecydowano o wprowadzeniu języka narodowego do liturgii. (Przetłumaczono w związku z tym rzymski mszał „trydencki” uzupełniając go dalszymi modlitwami kierowanymi do Pana Jezusa w Eucharystii). Rozwijano w parafiach działalność charytatywną i społeczną. Osobistemu zaangażowaniu biskupa Kowalskiego zawdzięcza Kościół wydawanie do I wojny światowej tak ważnego periodyku religijnego jak „Maryawita” uzupełnianego „Wiadomościami maryawickimi”. Nie wolno też pominąć „Kalendarzy Maryawickich” stanowiących istotny informator o nowym wyznaniu. W tym czasie ukazuje się też ważna publikacja *W obronie zasad Ewangelii*, za opracowanie której dwaj mariawiccy biskupi (M.M.Kowalski i M.J.Próchniewski) otrzymali doktoraty honoris causa nadane przez uczelnię starokatolicką.

W niedługim czasie po śmierci Mateczki, odwołując się do swych zrozumień i przemyśleń, biskup Kowalski wprowadził wiele innowacji w życie Kościoła i zgromadzeń. Uznał siebie za „bezwolne narzędzie w ręku Boga” i wywodził z powyższego swe prawa do decydowania tak w zgromadzeniach, jak i w Kościele. Zdecydował o udzielaniu wiernym Komunii Świętej pod Dwoma Postaciami rozwiązując przy tym problem praktyczny udzielania Eucharystii w takiej formie, wprowadził Komunię Świętą niemowląt w czasie chrztu (udzielenie kropki Krwi Najświętszej), zniósł obowiązkową spowiedź uszną dla dorosłych wiernych, usunął tytuły duchowieństwa (sam przyjmując tytuł arcybiskupa), sprecyzował pojęcie postu eucharystycznego dla dorosłych z pewnymi odstępstwami dla dzieci i chorych, dokonał zmian w zakresie postów i liturgii. Wprowadzając małżeństwa między kapłanami i siostrami zakonnymi zniósł w praktyce celibat duchowieństwa w

Kościół, a nadto wprowadził kapłaństwo niewiast. W wieku dojrzałym doskonalił znajomość języka hebrajskiego w związku podjętą pracą nad tłumaczeniem Pisma Świętego i komentarzami do Biblii. Przetłumaczył także na język polski i opatrzył klasycznymi i własnymi komentarzami *Boską Komedię* Dantego. Publikował wiele we wszystkich periodykach mariawickich, wydawał listy pasterskie, opracowywał przyczynki teologiczne. Podjął w latach dwudziestych rozmowy z kościołami: Rzymskokatolickim (korespondencja z biskupami), prawosławnymi (podróż do Ziemi Świętej) i narodowymi w celu doprowadzenia do jedności duchowej. Po roku 1926 w wyniku działań hierarchii rzymskokatolickiej zmierzającej do likwidacji Kościoła Mariawitów, postawiony był w stan oskarżenia przed sądami polskimi. Arcybiskupa Kowalskiego oskarżano o czyny niemoralne w stosunku do domowników klasztoru plockiego, a także o bluźnierstwa przeciw Bogu i Kościołowi Rzymskiemu. Po długich procesach sądowych został u niewinniony od zarzutu dokonywania czynów lubieżnych, ale skazany za bluźnierstwa, czyli podważanie nauki Rzymu. Prawomocny wyrok sądowy grozący arcybiskupowi więzieniem, a także nagonka podjęta przeciw niemu przez środowiska rzymskokatolickie, groziły konsekwencjami dla Kościoła Mariawitów. Arcybiskup odbywający karę więzienia byłby nie tylko niezdolny do kierowania Kościołem, ale powodowałby poważne zagrożenie dla jego istnienia. W tej sytuacji wskutek uchwały synodu w styczniu 1935 roku przestał on pełnić funkcję Arcybiskupa Kościoła Mariawitów z siedzibą w Plocku. Zawiązał natomiast pod swoim kierownictwem organizację Kościoła Mariawitów z siedzibą w Felicjanowie. Od lipca 1936 arcybiskup Kowalski odbywał karę więzienia w Rąwiczu, skąd zwolniono go 9 I 1938. W początkach okupacji niemieckiej w Polsce złożył kilka oświadczeń o tendencjach politycznych. Enuncjacje te w pewnym stopniu przyczyniły się do aresztowania go przez gestapo w dniu 25 I 1940. Początkowo był więziony w Plocku. Do Dachau wywieziony został w dniu 25 IV 1941 i oznaczony numerem 24542. Zagazowany został w komorze gazowej przez Niemców w dniu 18 V 1942.

III

Skrócony życiorys arcybiskupa Kowalskiego nie może wykazać wszystkich jego dokonań. Nie pozwala też czytelnikowi na wprowadzenie wniosków i ocen. Dlatego autor niniejszego

opracowania, bazując nie tylko na zewnętrznym życiorysie, ale na dalszych własnych badaniach oraz przemyśleniach, pragnie wprowadzić określone wnioski związane z jego życiem i działaniem, nie narzucając tych ocen nikomu.

Jan Kowalski był człowiekiem - oceniając to po ludzku - uzdolnionym nieprzeciętnie. Świeckie wykształcenie zdobywa z wyróżnieniem, a w seminarium duchownym daje się poznać jako zdolny i wybijający się kandydat do stanu kapłańskiego. Skierowanie Jana Kowalskiego na studia do Petersburga i to w najbliższym terminie po ukończeniu seminarium, jest tego oczywistym dowodem. W owych czasach każda polska diecezja do jedynej wyższej uczelni katolickiej jaka istniała w Petersburgu mogła wysłać tylko określoną liczbę duchownych i to co kilka lat. Ksiądz Kowalski został na tę uczelnię skierowany zaraz po skończeniu nauki w seminarium duchownym i fakt ten wskazuje na jego wybitność. Poznawszy ruch mariawicki w początkach XX wieku ksiądz Kowalski nie miał wątpliwości co do Boskiego pochodzenia Objawień Mateczki i bez wahania oddał swą wiedzę i umiejętności dla Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów. Z duchownego preferującego świecki styl życia stał się mistykiem głęboko pojmującym sens wiary. Dla celów wyższych (realizacja Objawień Mateczki) zrezygnował - tak jak i inni kapłani mariawici - ze świetnie się zapowiadającej kariery w Kościele Rzymskokatolickim. Ze swymi predyspozycjami psychicznymi i wykształceniem mógł w Kościele tym odegrać nietuzinkową rolę. Zresztą niektórzy z jego kolegów seminaryjno - akademickich zajęli w Kościele rzymskim po 1918 roku znaczące stanowiska. Nie był z grona pierwszych kapłanów mariawitów, ale wkrótce zajął w Zgromadzeniu pierwszą pozycję. Stał się też jednym z najbliższych współpracowników Mateczki tak w zgromadzeniach, jak i w powstałym później Kościele Mariawitów. Był tytanem pracy. Współorganizował podstawy Kościoła tak w zakresie formy, jak i treści. Już za życia Mateczki wykazał jednak pewne cechy „gorącego umysłu” decydując w niektórych sprawach bez zgody kapituły kapłanów i bez opinii Mateczki. Spowodował tym samym - do czego się przyznał - ból i swoiste napomnienia ze strony Założycielki. Podkreślić należy, że mimo wydatnych zasług, biskup Kowalski do śmierci Mateczki nie był jedynym decydem w Kościele. Wszystkie ważne decyzje dla Kościoła były podejmowane przez kapitułę kapłanów lub jednostkowo przez biskupa Kowalskiego, jednak po uprzednim zaopiniowaniu ich przez

Mateczkę. Założycielka korzystała nadto z porad: biskupów M. Jakuba Próchniewskiego i M. Andrzeja Gołębiowskiego oraz kapłanów M. Dominika Skolimowskiego i M. Jana Przyjemskiego. Bieżącą rolę wykonawczą w Kościele pełnili ówczesnie mieszkający przy klasztorze plockim kapłani: M. Filip Feldman i M. Bartłomiej Przysiecki. Realizowano w ten sposób swoistą kolegialność w zarządzaniu Kościołem. Mateczka pragnąc tę kolegialność utrzymać i po swojej śmierci, zaleciła w swym testamencie ideowym praktykowanie instytucji „czterech filarów” do współzrządzenia Kościołem i zgromadzeniami. Za jeden z czterech filarów został przez nią uznany biskup Kowalski. Pozostali to biskup Próchniewski oraz kapłani Feldman i Przysiecki. Z uwagi na posłuszeństwo obowiązujące zakonników mariawickich w stosunku do ministra generalnego, biskup Kowalski siłą faktu zajął pierwsze stanowisko wśród równych. Ta swoista zwierzchność biskupa Kowalskiego pogłębiała się w miarę upływu lat od śmierci Mateczki. Z biegiem lat stawał się jednoosobowym organem ustawodawczym i wykonawczym w Kościele, a zasada czterech filarów w praktyce przestała obowiązywać. Posłuszeństwo zakonne nie pozwalało innym duchownym na sprzeciw, lub sprzeciw ten wydatnie osłabiało. Zrodziło to wymierne zagrożenia dla zgromadzeń i Kościoła, choć w początkowej fazie ujawniło się tylko przyjęciem przez biskupa Kowalskiego tytułu arcybiskupa. Jedność władzy ustawodawczej i wykonawczej w Kościele bez kontroli czynnika grupowego (kapituła, gremia kapłańskie, zakonne i świeckie), przyczyniła się w dużym stopniu do określonych, mylnych decyzji podjętych przez biskupa Kowalskiego.

Pogłębiając swój mistycyzm, biskup Kowalski stał się mistykiem - mesjanistą, nawiązującym do tradycji polskiego romantyzmu i ideowych deklaracji naszych narodowych wieszczów. Mesjanistyczne teorie nie doprowadziły go do kwiatyzmu, do przekonania, że wystarczy mocno wierzyć w Boskie plany, czekać cierpliwie, a Bóg urzeczywistni na ziemi swe zamiary okazane w objawieniach Mateczki. On, ponoszony pasją działania na rzecz Bożych planów, oczekujący pełnej realizacji Objawień Mateczki - wzorem niektórych pierwszych chrześcijan - już za swego życia, w miarę swych sił ludzkich pragnął przyśpieszenia nadejścia Królestwa Bożego na ziemię. I to - moim zdaniem - było jedną z przyczyn swoistego załamania się duchowej drogi arcybiskupa Kowalskiego. Sytuacja w Europie po I wojnie światowej wykazująca niestabilności

polityczne i gospodarcze, dla osoby czynnej o gorącym usposobieniu, była podstawą do określonych, nie zawsze uzasadnionych opinii i nauk. Twierdzenia o zbliżającym się końcu świata lub groźbie dla ludzkości, głosili w tym czasie i inni ludzie. Głoszą i dziś. Społeczności traktowały i traktują te nauki z dystansem i bez większego zainteresowania. Inaczej rzecz się miała z tezami głoszonymi przez arcybiskupa Kowalskiego powołującego się na Objawienia Mateczki. Jeżeli jego pierwsze listy pasterskie po otrzymaniu sakry w Utrechcie budziły zaciekawienie, a nawet przychylnie przyjęcie przez polskie grupy umiarkowane i postępowe (na przykład ze strony pozytywistów z grona A. Świętochowskiego), to nauki o zbliżającym się końcu świata wygłaszane przez niego w latach dwudziestych, odwołujące się do swoich przyjętych rozumień, przyniosły w rezultacie ataki na mariawityzm i autora tych nauk. Arcybiskup Kowalski stał się przedmiotem w pierwszym rzędzie kpin i niewybrednych ataków kabaretowo - dziennikarskich, a następnie zmasowanego i z góry zaplanowanego ataku sfer kerykalnych. Dziś bezsporne jest, że za zgodą i pod nadzorem ówczesnego episkopatu rzymskokatolickiego, przygotowywano słynny proces arcybiskupa Kowalskiego o czyny lubieżne w stosunku do dziewcząt - wychowanic klasztoru plockiego, a także o „bluźnierstwa” publikowane drukiem. Na tle tego procesu zniszczono w społeczeństwie polskim opinie tak arcybiskupowi Kowalskiemu, jak i mariawitom. Od tego czasu nazwisko arcybiskupa Kowalskiego stało się synonimem zła i wszelkiego odstępstwa od zasad. Nie zmieniono nastawienia i treści napaści na niego i na mariawityzm mimo, że ostatecznie został on oczyszczony z zarzutu popełnienia czynów lubieżnych z nieletnimi. Skazano go sądownie za bluźnierstwa w komentarzach do wydawanego polskiego przekładu Biblii i innych wypowiedzi na piśmie, a podstawą do ingerencji polskiej władzy sądowniczej w meritum tych tekstów były postanowienia konkordatu z 1925 roku nakazującego państwu polskiemu chronić w szczególny sposób Kościół Rzymskokatolicki. Zarzut bluźnierstwa nie dotyczył naruszenia depozytu wiary, ale ataków na instytucje rzymskie. Bez wdawania się w szczegóły należy podkreślić, że procesy arcybiskupa Kowalskiego nie stanowią chlubnej karty w dziejach sądownictwa polskiego. Nie są też dowodem na istnienie ducha chrześcijańskiego wśród wrogów arcybiskupa.

Innym powodem ataku z zewnątrz na arcybiskupa Kowalskiego było niezręczne zniesienie obowiązkowego celibatu duchownych. Zasada małżeństw między duchownymi a zakonnikami mająca w zamierzeniu arcybiskupa ułatwić pracę w parafiach, stała się w praktyce nie tylko naruszeniem ślubów zakonnych, ale i stworzeniem sytuacji dla Kościoła Mariawitów niewygodnych i ośmieszających. Analogicznie rzecz się miała z wprowadzeniem kapłaństwa kobiet. Kościół Mariawitów od samych swych początków miał trudności z utworzeniem wystarczającej kadry kapłańskiej. Wiele placówek mariawickich upadło z powodu braku stałej obsady proboszczowskiej. Jednym z rozwiązań było kapłaństwo niewiast. W tym czasie stało się to kolejną przyczyną, dla której arcybiskupa odsądzono od czci i wiary. Zarzuty tego rodzaju dziś, kiedy tak wiele się mówi nawet w Kościele Rzymskokatolickim o zniesieniu celibatu duchowieństwa i dopuszczeniu kobiet do czynności kapłańskich, wydają się być śmieszne. Co więcej - praktyka mariawicka może w tym przypadku być jakąś formą doświadczenia dla innych kościołów. Jednak atmosfera stworzona na tle reform arcybiskupa Kowalskiego nie tylko nie pozwala uznać go za prekursora reform kościelnych w tym zakresie, ale nadal umożliwia stawianie mu zarzutu naruszania zasad katolickich.

Osobnym zagadnieniem i trudnym do przyjęcia nawet dla wielu zwolenników mariawityzmu, był wprowadzony przez arcybiskupa Kowalskiego szczególny kult Mateczki, często przysyłający inne wartości w Kościele. Założycielka cierpiała, gdy ludzie usiłowali składać Jej ziemskie hołdy. Odrzucała wszelkie próby wywyższenia Jej przez ludzi i cierpliwie kierowała ludzkie intencje ku Bogu. Z upływem lat od śmierci Mateczki zapomniano o Jej umiłowaniu i praktykowaniu pokory, wprowadzając nieuzasadnione formy Jej kultu. Zaprzeczyć nie sposób, że inicjatywy w tym zakresie zrodzone ze szczególnej - choć mym zdaniem nieprawidłowej - czci dla Założycielki, wychodziły w głównej mierze od arcybiskupa Kowalskiego.

Nie można jednak zaprzeczyć, że arcybiskup Kowalski stworzył podstawy teologii mariawickiej i wiele z jego idei i decyzji jest w kościołach mariawitów stosowanych nadal. Mam w tym przypadku na myśli w szczególności Komunię Świętą pod dwiema postaciami, Komunię Świętą niemowląt, pojęcie postu, spowiedzi. Są to problemy, do których się powraca w Kościele Rzymskokatolickim, i o których nadal dyskutują teologowie na całym świecie. To dzięki

współdziałaniu ówczesnego biskupa Kowalskiego z Mateczką i kapłanami w Kościele Mariawitów wprowadzono do liturgii języki ojczyste, wyprzedzając prawie o pół wieku decyzje Soboru Watykańskiego II. Zapomina się, że to właśnie arcybiskup Kowalski zniósł tytułomanię w Kościele, o czym hierarchowie rzymscy dyskutują dopiero teraz, widząc w niej trudność w porozumieniu się ze światem świeckich. Nie pamięta się także, że był on jednym z tych duchownych, którzy tak wielką wagę przykładali do pracy społecznej Kościoła i duchownych. Pomija się w oficjalnej nauce polskiej, że był tłumaczem *Biblii* i *Boskiej Komedii* Dantego. W literaturze teologicznej brak miejsca dla tych rozważań arcybiskupa Kowalskiego, które mają niepodważalne znaczenie dla katolicyzmu, a mianowicie o Eucharystii, Miłosierdziu Bożym i przybliżeniu Ewangelii wiernym. Zapomina się, że wyprzedził wielu w zakresie zrównania praw kobiety w Kościele, choć uczynił to w sposób uniemożliwiający współczesnym na docenienie tych reform. Tak, jak wprowadził mariawitów do Unii Utrechckiej, tak swymi zbyt daleko idącymi reformami kościelnymi spowodował wykluczenie ich z Unii. Można bez błędu napisać, że osoba arcybiskupa Kowalskiego czeka na swego biografa, który wyzbędzie się uprzedzeń i fanatyzmu, i ukaze tę postać we właściwym świetle.

IV

Na tle powyższych rozważań autor ma swoje bardzo osobiste przemyślenia. Podczas studiów nad historią mariawityzmu poznał wiele opracowań antymariawickich, w szczególności dotyczących nagonki na arcybiskupa Kowalskiego w okresie opisanych rozpraw sądowych. Jeszcze przed zakończeniem tych procesów prasa zbliżona do kół kościelnych rzymskokatolickich wydała wyrok - Kowalski to zbrodniarz, gwałcieciel i deprawator. Mówiło się publicznie o „zbrodniach mariawickich” dezawuuując przy okazji całe wyznanie w oczach opinii publicznej. Oskarżenia te zbudowane na lichych podstawach, w praktyce upadły. Mimo tego, tak publicystyka, jak nawet opracowania mieniące się naukowymi z uporem piszą o „zbrodniach” popełnionych przez arcybiskupa Kowalskiego. Zniweczyć tych zarzutów jakoś nie sposób, choć mają one charakter pomówienia. Mając w pamięci to, co mówiono - i mówi się nawet obecnie - o arcybiskupie Kowalskim, z dużym dystansem obserwuję próby wyciszenia sprawy poznańskiego arcybiskupa Paetza. Oficjalne czynniki kościelne w Polsce, a także

określone środowiska świeckie, nie potrafią godnie tej sprawy załatwić. Enuncjacje jej dotyczące wygłaszane „w obronie Kościoła” bardzo często powodują niesmak i zdziwienie. Mówi się w obronie arcybiskupa Paetza, że dopóki nie ma prawomocnego wyroku, nie można mówić o winie. Takiego argumentu w czasach procesu arcybiskupa Kowalskiego nie używano, choć zasada domniemania niewinności obowiązywała. Dla mnie wydarzenia poznańskie są jednak dowodem na realizację zasady ewangelicznej „*кто мечем воjuje од меча гиніе*”. Kościół Rzymskokatolicki w Polsce po 70 latach od wywołania sprawy arcybiskupa Kowalskiego sam odczuł, co znaczy dla organizacji kościelnej zawód sprawiony przez dostojnika kościelnego. Faktu tego nie zmieni żadne dementi. Jedno jest pewne. Opinia ludzka jest wybiórczo uzależniona od stosunku do człowieka. Także prawo jest „dla równych i równiejszych”, jak chce tego popularne powiedzenie. Jeszcze gorszą jest obłudna nagonka prasowa. Tu nasuwa mi się pytanie - czy wobec wypadków poznańskich i analogicznych w innych prowincjach Kościoła Rzymskiego nie czas, aby oficjalnie oddać sprawiedliwość arcybiskupowi Kowalskiemu?

Ignacy Stobiecki

2. Pomówmy o „nowościach” arcybiskupa Michała.

Omówienie zarówno ogólnej sylwetki arcybiskupa mariawitów Jana Marii Michała Kowalskiego, jak i jego idei teologicznych oraz zarządzeń organizacyjnych, a także prac literackich, to temat nie na artykuł, ale na grubą monografię. Tu chcę ledwie z grubsza poruszyć tylko najważniejsze spośród decyzji, które się określa popularnie jako „nowości” wprowadzone przez niego w Kościele Mariawitów. Chcę się zastanowić, w jakim sensie są one nowościami oraz ile jest w nich pozytywnego, co zaś należałoby uznać za szkodliwe dla ruchu mariawickiego. Działalność arcybiskupa M. Michała Kowalskiego kojarzy się bowiem nie tylko przeciwnikom mariawityzmu, ale i części samych mariawitów z czymś jeśli nie szkodliwym, to w każdym razie dziwnym i niepotrzebnym. O nowościach doktrynalnych (dogmatycznych) wypowiem się kiedy indziej.

Pierwszą nowością wprowadzoną przez niego było odprawianie liturgii mszalnej w językach narodowych. Z początku były to języki polski i litewski; potem doszły inne. Nie była to w

istocie nowością. Zasadę języków narodowych znano od początku prawosławia (żeby nie wspominać anglikanizmu, jako „jawnie heretyckiego”). Msza odprawiana po polsku, czy litewsku wywoływała wówczas zgorszenie tylko w kręgach rzymskiego katolicyzmu, który jednak w kilkadziesiąt lat potem tę zasadę sam przyjął. Myślę, że mogę tu bez rozwijania argumentów przyjąć, iż była to zasada znana od początków Kościoła Powszechnego, a więc żadna nowość, a jej wznowienie było na początku XX wieku celowe.

Zupełnie to samo można powiedzieć o zasadzie udzielania Komunii Świętej pod dwiema postaciami. Zgorszone glosy, że może to łatwo prowadzić do profanacji były zupełnie bez sensu. Praktyczne przepisy udzielania obu Postaci Eucharystycznych i zaprojektowane w tym celu charakterystyczne mariawickie puszki komunijne mogą być przykładem wzorowego rozwiązania tej sprawy. Możliwość przypadkowej (a tym bardziej zamierzonej) profanacji jest tu znacznie mniejsza niż przy tradycyjnych sposobach udzielania obu postaci, praktykowanych w Kościele Prawosławnym i innych. Dziś już takie udzielanie Komunii Świętej pod obu postaciami nie gorszy nikogo.

Zniesienie obowiązkowej spowiedzi usznej też nie było w istocie nowością. Pierwsze wieki chrześcijaństwa znały pokuty nakładane przez duchowieństwo za grzechy jawne, popelnione publicznie, i zwalnianie z tych pokut (absolucje). Ponadto znały spowiedź z pozostałych grzechów przed Bogiem. Chrześcijanie, którzy się po chrzcie znaleźli w zawikłanej moralnie sytuacji zwykli byli pod gwarancją dyskrecji zasięgać porady u doświadczonych duchownych, nie było to jednak obowiązkiem. Spowiedź uszna tak bardzo rozwinięta w średniowieczu, zamiera dziś w kościołach nawet najbardziej tradycyjnych. Kto nie wierzy, niech spróbuje odbyć spowiedź uszną w przeciętnej rzymskokatolickiej parafii we Francji. W dużej części chrześcijaństwa istnieje obecnie tendencja powrotu, w tej dziedzinie do praktyk pierwszych wieków chrześcijaństwa. Kapłani nie byli w Kościele Powszechnym nowością. W prawosławiu istnieli tacy zawsze, a w Kościele Rzymskim - mimo zakazów - oficjalnie żonaci duchowni jeszcze się zdarzali w wieku XVI (np. islandzki biskup Jón Arason zamordowany w roku 1550). Natomiast nowością wydawały się wprowadzone w mariawityzmie małżeństwa pomiędzy zakonnikami i zakonnicami pozostającymi nadal pod franciszkańską regułą zakonną. Co dziwniejsze, sam

arcybiskup Michał uważał to za nowość i argumentował jej potrzebę jako takiej. Wygląda na to, że nie znał wówczas badań historycznych, które wykazały jednoznacznie, że pierwsza reguła franciszkańska z roku 1209/10, uznawana za podyktowaną świętemu Franciszkowi przez samego Boga, nie znała ślubów (ani obowiązku) celibatu, że sam Franciszek nigdy celibatu nie ślubował i choć go zachowywał nie był do niego zobowiązany. Ta sprawa została już oświetlona obszernie w materiałach z sesji w Woli Cyrusowej w poprzednim zeszycie, oraz kontynuowana w dalszej dyskusji na tematy tej sesji w zeszycie obecnym „Pracy nad sobą”. Odsyłając do tych materiałów mogę tylko dodać, że wprowadzenie małżeństw zakonnych wywołało nie tylko zgorszenie przeciwników mariawityzmu, ale sprzeciwił pewnej części samych mariawitów, gdyż nie było ono należycie przygotowane odpowiednimi publikacjami przed faktem, lecz dopiero ogłoszone długo po fakcie zawarcia kilku takich małżeństw. Ponadto nie podano ważnego argumentu, że małżeństwa zakonne istniały w pierwotnym franciszkanizmie. Była to decyzja właściwa ale niezręcznie wprowadzona w życie.

Dyskusyjną sprawą wydaje się dopuszczenie kobiet do wszystkich stopni kapłaństwa. Przeciwnicy kapłaństwa kobiet argumentują, że w Nowym Testamencie nie ma nigdzie wzmianki o święceniach, o „włożeniu rąk” na kobietę. Podobny argument można by jednak wysunąć również w stosunku do sakramentu Eucharystii. W Biblii nie znajdujemy nigdzie wzmianki o udzieleniu kobiecie Komunii Świętej, a przecież nie uważa się tego za jakikolwiek argument przeciw komunikowaniu kobiet. Jeśli przyjmiemy związek między chrztem lub bierzmowaniem (o czym niżej), a kapłaństwem, kapłaństwo kobiet staje poza dyskusją. Powiada się czasem, że kapłaństwo kobiet nie było praktykowane w Kościele pierwotnym. Otóż z materiałów podanych w piśmie „New Women, New Church”¹ dowiadujemy się o istnieniu na dawnych pomnikach i dokumentach rzymskich tytułu *‘prezbitera’*. Niektórzy sądzą wprawdzie, że tym słowem określano nie chrześcijańskie kapłanki, lecz żony prezbiterów, jak to dziś jest w zwyczaju w Kościele Prawosławnym w Grecji. Ale na grobowcu prezbitera imieniem Leta jest napisane, że wystawił go mąż tejże. Gdyby to on był prezbiterem kazałby wyręczyć, że taki a taki prezbiter stawia pomnik swojej żonie, a nie że taki a taki mąż stawia pomnik swej żonie - prezbiterze. Czy te fakty dowodzą ostatecznie istnienia kapłanek we wczesnym chrześcijaństwie, o czym był przekonany świętołbwy

biskup Atto żyjący w X wieku, można by jeszcze wątpić. Silniejszym dowodem jest pismo (bulla) patriarchy Rzymu (papieża) świętego Gelazego I (492-496), w którym nakazuje on biskupom południowych Włoch i Sycylii zaprzestania odtań święcenia kobiet na kapłaństwo. Znaczy to, że takie święcenia były dokonywane przynajmniej w południowych Włoszech i na Sycylii. O biskupkach w pierwotnym kościele możemy natomiast wnioskować tylko z poszlak. Nie chcę więc twierdzić, że w konsekracji mariawickich biskupek nie było czegoś nowego. Dziwne jest natomiast, że kapłaństwo niewiast zostało wprowadzone przez arcybiskupa Michała dość nagle i tak obficie, że nieomal przytłumiło kapłaństwo męskie. Ponadto, czemu w niektórych enuncjacjach nazwano je lepszym od kapłaństwa męskiego? Czy może aby zrównoważyć pogląd świętego Gelazego, że jest gorsze? W każdym razie w czasach nowożytnych Kościół Mariawitów był drugim w kolejności, który wprowadził w roku 1929 święcenia kobiet na kapłaństwo (pierwszym była Wspólnota Chrześcijan gdzie takich święceń dokonano już w roku 1922). Dziś, gdy wchodzi ono w zwyczaj w coraz większej liczbie kościołów, może należałoby się zastanowić, czy słuszne było jego zawieszenie od roku 1938 w jednej części mariawityzmu?

Czy było nowością zniesienie odrębnego stanu duchownego, zniesienie tytułów duchownych i wprowadzenie kapłaństwa ludowego (powszechnego) bez likwidacji wszakże kapłaństwa hierarchicznego (biskupów, prezbiterów i diakonów)? Zamiast mojej opinii przytoczę tu za „Tygodnikiem powszechnym”² wypowiedź jezuita profesora Henryka Pietrasa: >> *Kapłaństwo w chrześcijaństwie - inaczej niż w religiach pogańskich i judaizmie - przynależało jedynie Chrystusowi, a z mocy Jego ofiary - całemu ludowi Bożemu. Sakrament chrztu był więc jednoznaczny z sakramentem kapłaństwa. Podczas Eucharystii to właśnie lud składał ofiarę z samego siebie, a prezbiter jedynie temu przewodniczył. Był przywódcą, pasterzem i nauczycielem wspólnoty [...]. To jednak zupełnie co innego niż kapłaństwo prezbiterów, które zrodziło się w IV wieku pod wpływem wierzeń pogańskich i „wzdychania za porządnym kultem świątynnym”. [...] Po Edykcie Mediolańskim (z 313 r.) duchowieństwo otrzymało te same przywileje co kapłani dawnych kultów, podobnie jak oni zostali zwolnieni ze służby wojskowej, zaczęli się ubierać po kapłańsku.<<. Pozostawiam opinii czytelników, czy ojciec profesor Pietras uległ tu*

„herezji felicianowskiej”, czy wystąpił po prostu jako wnikliwy historyk Kościoła.

Za niewątpliwą nowość trzeba natomiast uznać oswojenie życia kościelnego, zwłaszcza życia zakonnego z całością tego, co się nazywa seksualnością, a dziś często po prostu seksem. Już w zagadnieniu małżeństw zakonnych, nazwanych małżeństwami mistycznymi, pojawiły się omówienia dotyczące odrębnych zadań obu pici z uwzględnieniem cech anatomicznych. Zrównano w prawach wobec Kościoła dzieci nieślubne z dziećmi ślubnymi. Zapowiedziano możliwość uznania za ważne wobec Boga i Kościoła ślubów cywilnych, jak również małżeństw zawartych przed Bogiem zupełnie bez żadnych formalności. Zaczęto dyskutować o stronie moralnej poligamii. Nie sposób bliżej omawiać wszystkich tych problemów. Przykładowo zatrzymam się na ostatnim, jako szczególnie kontrowersyjnym. Wszystkie prawie kościoły chrześcijańskie są zgodne, że Nowy Testament (nie mówiąc już o Starym), choć za wzór stawia monogamię, nie zawiera formalnego zakazu małżeństwa poligamicznego. Dlatego misjonarze pozyskawszy takie małżeństwo dla chrześcijaństwa nie nakazują mężowi zachowania sobie jednej z żon, a porzucenia pozostałych. Byłoby to zresztą nieludzkie w stosunku do tych ostatnich. Małżeństwa poligamiczne istniały więc i istnieją w Kościele chrześcijańskim, choć tylko jako wyjątki. Nie można być duchownym żyjąc w takim małżeństwie („*Biskup ma być... mężem żony jednej*” 1 Tym 3:2), ale można być świętym. Takim kanonizowanym świętym, uznanym zarówno na wschodzie jak i na zachodzie, został nawrócony na chrześcijaństwo kijowski książę Włodzimierz pozostający do śmierci w związkach poligamicznych. Trwają dyskusje co do realności historycznych zapisków o zezwoleniach na poligamię wydawanych również poza terenami misyjnymi przez papieża rzymskiego i innych dostojników kościołów. Zarówno w tej sprawie, jak i w innych, w które się tu nie zagłębiam, trwały i trwają dyskusje w świecie chrześcijańskim. Nie można więc mówić o rozpatrywaniu tych poszczególnych zagadnień, jako o czymś nowym w Kościele. Natomiast niewątpliwie jest nowością, że wszystkie te sprawy pojawiły się razem w rozważaniach arcybiskupa Michała i jego współpracowników tworząc jeden blok. I tu chcę zwrócić uwagę na wykład chrześcijańskiego ezoteryka Rudolfa Steinera ogłoszony w Zurychu 9 X 1918, a więc niedługo po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Na podstawie obserwacji

faktów duchowych oznajmił on, że ludzkość ma teraz (1918 rok) szansę nauczenia się wzajemnego szacunku, braterskich uczuć, przyjaznego, pokojowego rozwiązywania kwestii spornych. Jeśli temu nie sprosta, jeśli dopuści do następnej wojny, to ku końcowi XX wieku podlegnie procesowi przemożnej seksualizacji, a będzie to proces nieodwracalny. Dziś wiemy, że ludzkość nie okazała się dojrzałą do zadań. Dopuszczono do II wojny światowej i wskutek tego od połowy XX wieku - zgodnie z ostrzeżeniem Steinera - ogarnia nas coraz bardziej narastająca fala seksualizmu. Powstał dla wszystkich kościołów problem jak się do tej fali ustosunkować. Po prostu zgnieść jej nie można. A więc co można jeszcze schryścianizować, objąć życiem i pomocą Kościoła, a co musi pozostać na zewnątrz niego? Co w żaden sposób przyjęte być nie może? Gdzie leżą dziś granice moralnie dopuszczalnego? Osobiście jestem przekonany, że arcybiskup Michał przeczuwał, nadchodzenie tej fali i usiłował przygotować Kościół na jej spotkanie, wysuwając z góry przyszłe problemy. Szkoda, że po rozłamie roku 1935 obie gałęzie mariawityzmu wstydliwie przestały w ogóle mówić o współczesnych problemach seksualnych. Zapewne wystąpiła tu obawa przed możliwością dalszych pomówień mariawitów o niemoralność. Do dziś, w 70 prawie lat po rozłamie, te problemy, które stały się dziś tak aktualne w świecie chrześcijańskim, nie powróciły pod rozważania kościołów mariawickich. Czasem dzisiejsi mariawici okazują się tu bardziej pruderyjni od swoich dawnych przeciwników.

Wiąże się z tym jeszcze jedna sprawa. Powiadają, że o sprawach związanych z seksem nie tylko się teoretycznie dyskutowało, nie tylko zawierało mistyczne małżeństwa zakonne, ale wśród mieszkańców Świątyni w Płocku krzewiły się w latach dwudziestych / trzydziestych seksualne nadużycia, rozpusta. Postarałem się tę sprawę zbadać, zebrać ugruntowane wiadomości. W ciągu 50 lat rozmawiałem z licznymi ludźmi starymi i młodymi, którzy tam wtedy mieszkali, również z tymi, którzy przeżyli tam dzieciństwo lub młodość. Na pytanie czy się tam zdarzały rzeczy sprzeczne z obyczajowością początków XX wieku - odpowiadam: oczywiście tak; takimi były choćby mistyczne małżeństwa zakonników. Na pytanie, czy się zdarzały rzeczy sprzeczne z moim poczuciem etycznym - odpowiadam również: tak. Na pytanie jak licznie się zdarzały - odpowiadam: nie liczniej niż w innych klasztorach. Mógłbym podać adresy klasztorów i seminariów

duchownych, bynajmniej nie mariawickich, gdzie sprawy wyglądały dużo gorzej. Chcę jednak zauważyć, że właśnie osoby najbardziej nieetyczne w dziedzinie seksualnej należały do przeciwników arcybiskupa Michała i czynnie wystąpiły przeciw niemu w czasie rozłamu 1935 roku. Nazwisk nie będę wymieniał, bo żyją ich potomkowie godni szacunku.

Ogólnie biorąc uważam, że arcybiskup Michał miał znakomite rozeznanie tego, co Kościołowi będzie potrzebne w przyszłości i przekształcał Kościół w tym kierunku. Wprowadzał jednak pewne nowości bez uprzedniego, odpowiedniego przygotowania ludu, a czasem nawet kapłanów. Do tego wprowadzone już nowości uzasadniał swoimi zrozumieniami i swoją interpretacją objawień Mateczki, co miało raczej znaczenie dla niego osobiście. Natomiast często - zwłaszcza w późniejszej działalności - nie podawał argumentów historycznych, które trafiłyby przeciw najłatwiej do przekonania ludu mariawickiego. Niepotrzebnie więc nazywał czasem nowym to, co było już znane dawniej w Kościele, sam sobie utrudniając przez to zadanie. Możliwe, że wynikało to z jego przepracowania, a tym samym z odcięcia od nowszej literatury, z braku możliwości zapoznawania się pojawiającymi się dziełami na odpowiednie tematy.

brat Paweł

¹„New Women, New Church”, vol 13, # 2-4 May-October 1990, s.1-4.

²„Tygodnik Powszechny” # 16 (2754), Kraków 21 IV 2002, s.2

Ty nie jesteś

*Ty nie jesteś słońcem,
Nie jesteś wicherą,
Nie jesteś posągiem,
Nie jesteś też górą.*

*Nie musisz mi sprawiać
Tego o co proszę;
Nic mi nie zawdzięczasz
Choć cierpienia znoszę*

*Ty nie mieszkasz w niebie,
dostrzegać
Nie mieszkasz w świątyni;*

*Nie musisz
Mojej obecności.*

*Nie trzeba Ci miejsca,
Nie trzeba przestrzeni.*

*Życie moje ginie
Wśród świata nicości.*

*Nie słyszysz słów moich,
Nie widzisz, co robię,
Nie zamknę Cię w sercu
Ani w swej osobie.*

*Jednak wiem na pewno,
Że Twój plan stworzenia
Zawierał konieczność
Mojego istnienia.*

*Nie zmienię Cię, abys
Działał w mym imieniu;
Nie jesteś poddany
Żadnemu stworzeniu*

*I choć jestem pyłkiem
W skali Twej wieczności
Nie byłoby świata
Bez mej obecności.*

Marek Suder

=====

„Bardzo ładnie,
ale nie ekumenicznie”

Kiedy się rozmawia z ludźmi o ekumenizmie maryjnym, słyszy się ciągle, że Maryja dzieli chrześcijan, więc można ją czcić, ale nie można tego łączyć z „ekumenizmem”. Tak rozumują również podzieleni chrześcijanie z kościołów tradycyjnych, na szczęście - nie wszyscy. Pozostali ciągle, do znudzenia, mi gadają, że Maryja nie jednoczy, ale dzieli chrześcijan. Męczą, tak nieustannie im powtarzać, więc niech sobie przeczytają. Właściwie można by w ogóle się nie fatygować z odpowiedzią, gdyby nie to, że chrześcijan tak myślących jest dużo, bardzo dużo. Większość z nich - mowa oczywiście o Polsce - należy do Kościoła Rzymskokatolickiego. Dla nich to piszę, z myślą o ich tradycji,

którą teraz tak lekkomyślnie zamieniają na jakieś „bum, bum” i klaskanie w ręce z głupiej radości wyrażanej często „na siłę”.

Oto ich zarzuty. Z racji przyjętego zwyczaju, żeby niby to pytając atakować bez pardonu, przedstawiamy je w formie pytania:

Po co mówić o Maryi przy okazji dialogu ekumenicznego, skoro temat ten jest tak drażliwy dla większości protestantów? Czy nie lepiej skoncentrować się na kulcie Jezusa Chrystusa i doprowadzić do jedności całe chrześcijaństwo, a nie tylko czcicieli Maryi? Mam w tym momencie wrażenie, że słyszę głos Światowej Rady Kościołów. Nie całej wprawdzie, ale niektórych wojowniczo nastawionych jej członków.

Gdybyśmy chcieli odpowiedzieć na to pytanie krótko - nie uwzględnilibyśmy wszystkich jego głębokich i różnorodnych aspektów. Dlatego rozbijmy je na krótsze, bo w istocie jest to wiele pytań w jednym:

- 1) Po co mówić o Maryi przy okazji dialogu ekumenicznego?
- 2) Po co mówić o Maryi, skoro to drażni wielu protestantów?
- 3) Po co mówić o Maryi w dialogu z protestantami?
- 4) Lepiej mówić o Maryi, czy o Jezusie?
- 5) Lepiej doprowadzić do jedności całe chrześcijaństwo, czy tylko czcicieli Maryi?

Zanim odpowiemy na tych pięć pytań, zadajmy jeszcze dodatkowe dwa:

a) Kult Jezusa Chrystusa - Kult Maryi: wykluczanie, niezależność czy zawieranie?

b) Kult Maryi to sentymentalizm, czy łączność z pierwszym tyśiącleciem?

Dziś wskażę tylko na kierunek w którym można znaleźć odpowiedzi na te pytania. Na początku zaś chcę zauważyć, że wiele innych zarzutów przeciw ekumenii Maryjnej daje się sprowadzić do przedstawionych wyżej pięciu. Większość z nich w istocie przeciwstawia Matkę Synowi!

Ponieważ jest to przeciwstawienie absurda - rzadko się zdarza, żeby ktoś na coś takiego w ogóle chciał odpowiadać. Niestety ostatnio wśród niektórych kół politycznych i ich chrześcijańskich przybudówek nastał zwyczaj robienia sobie kpin z Matki. Ci sami ludzie twierdzą jednocześnie, że szanują Jezusa. Twierdzą nawet, że w Niego wierzą (w co bardzo wątpliwie). Zakładając jednak, że wierzą, trzeba uznać: nie szanując Maryi

chcą nie tyle obrazić samego Chrystusa, co zakpić sobie z chrześcijan, którzy mają cześć dla Jego Matki.

Bezczelne i głupie zachowanie, jakim jest kpienie sobie z uczuć religijnych drugiego człowieka, jest wykroczeniem moralnym w całym chrześcijaństwie, a nie tylko w tradycyjnym, uznającym kult Maryjny (anglikanie, prawosławni, rzymscy katolicy i starokatolicy, a oprócz tego Ormianie, Koptowie i inni chrześcijanie przedchalcedońscy) Większość z tych kpiarzy stanowią ludzie z wyższym wykształceniem, nieraz nawet teologicznym, co daje wiele do myślenia o ich przygotowaniu ekumenicznym. Kpina ma tę własność, że nie stawia kwestii jasno i trudno - w związku z tym - ją zwerbalizować, ubrać w wyraźne słowa tak, by można było odpowiedzieć, sprostować, czy wyjaśnić.

Czasem się usiłuje przedstawić wielbicieli Maryi jako ludzi wiejskich i w ten sposób ich poniżyć. Dzisiaj jest to wyjątkowo bolesne, kiedy bieda na wsi sięgnęła rozmiarów nie spotykanych po wojnie. Przedstawienie kogoś jako człowieka wsi zamierza bazować na najniższych instynktach odbiorcy. Snobizm, ta siła wstydu, która się bierze z pogardy - to jeden ze sposobów działania szatana, któremu zawsze się trzeba sprzeciwić. Nie wolno siedzieć cicho ze strachu, że się „wyjdzie na głupka”. Pan przeznaczył nas na świadectwo dla świata. Nie można świadczyć wyłącznie czynem. Apostołowie - tak myśląc - poprzestaliby na wypełnianiu dobrych uczynków i stali by się wzorowymi faryzeuszami. Dzięki temu, że świadczyli słowem i mocą Bożą, i myśmy uwierzyli.

Na początku nie tylko apostołowie służyli słowem, ale wszyscy chrześcijanie. Dzisiaj jest potrzebna obecność chrześcijan w różnych miejscach, również w nauce. Stąd potrzeba obecności w szeregach chrześcijan wielu naukowców różnych dziedzin. 'Obecność' nie oznacza stanięcia z Biblią i czytania wszędzie różnych cytatów, ale umiejętność dotarcia do człowieka w jego uwarunkowaniach psychicznych, społecznych i kulturowych, a także osobistych. Naukowcy są jedną z takich grup. Każda z nich (alkoholicy, księża, narkomani, kierowcy, mniejszości narodowe, wykształceni, niewykształceni, wtórni analfabeci religijni, wdowy, wdowcy, dzieci, młodzież wybitnie uzdolniona, czy zaniedbana) ma swoje trudności i nie można powiedzieć, żeby naukowcy byli akurat szczególnie trudni i uparci.

Jeżeli zaś chodzi o to 'staniecie' z Biblią i o te 'cytaty', to warto pamiętać, że nie tylko Biblia jest źródłem Objawienia, ale i Tradycja. Dlatego też świadectwo chrześcijańskie błędnie jest utożsamiane ze świadectwem biblijnym. Nie jest to to samo.

Istnieją chrześcijanie odrzucający tradycje pierwszego tysiąclecia, ale w to miejsce opierają się na pismach swojego ulubionego teologa (przeważnie założyciela wyznania). Mają więc swoją własną tradycję. Wyznanie chrześcijańskie oparte *wyłącznie* na Biblii, to mrzonka nigdzie nie istniejąca. Jedno jest pewne: odrzucenie pierwszego tysiąclecia chrześcijaństwa powoduje powstanie ogromnych trudności z przyjęciem kultu Matki Bożej i wielu innych prawd chrześcijańskich.

W dialogu ekumenicznym szukamy tego, co nas łączy (*konsens*). Potem dopiero tego, co dzieli. Następnie to, co dzieli, próbujemy zakwalifikować jako to, co ewentualnie można by zbliżyć, przeredagować i znaleźć wspólny mianownik. Wyróżniamy więc zbieżności (*konwergencje*) i rzeczy nie do pogodzenia - rozbieżności (*dywergencje*). Później następuje jeszcze próba „stępienia ostrza” dywergencji tak, aby przestało ranić braci z bratniego Kościoła.

Przykładem konsensu jest wiara w Jezusa Chrystusa jako Boga.

Przykładu konwergencji poszukamy w tak zwanym *Dokumencie z Limy* 1982 roku pod tytułem „*Chrzest, Eucharystia, posługiwanie duchowe*”. Są kościoły uznające chrzest niemowląt i takie, które to odrzucają. Dokument z Limy proponuje taką konwergencję: dziecko winno być wychowane w wierze niezależnie od tego, czy jest ochrzczone, czy się dopiero do chrztu przygotowuje. Kiedy zauważamy, że najważniejsze jest wychowanie chrześcijańskie, a nie to, czy dziecko będzie ochrzczone trochę wcześniej, czy trochę później - przestaje nas to dzielić.

Dywergencją jest uznanie ojców kościoła za źródło objawienia. Jedne kościoły uznają Tradycję (pierwszego tysiąclecia), drugie nie.

Przemyślawszy to, każdy z nas sam potrafi odpowiedzieć na postawione na początku 5 pytań zasadniczych i dwa dodatkowe. Ale w przyszłości powrócę jeszcze do tych spraw.

Jan Jasnorzewski

RECENZJE, POLEMIKI

Jeszcze raz o pomykaniu obrazków

Po przeczytaniu w zeszycie 24 „Pracy” wypowiedzi Krzysztofa Mazura i Brata Pawła¹ o pomykaniu obrazków, chcę dodać od siebie, że przygotowując większą pracę o wydawnictwach mariawickich natknąłem się na wydany w roku 1908, a przeznaczony dla władz świeckich (wówczas były to władze rosyjskie) informator naszego Kościoła², gdzie, między innymi, opisuje się i odpiera nieuzasadnione zarzuty wobec mariawitów na przykład, że mariawici używają środków farmakologicznych do kaptowania ludzi dla ich idei, jak również pogłoskę, że zamiast Komunii Świętej dają do pomykania bibulki z nadrukowanymi ikonami. A więc powtarzany później przez Jarosława Iwaszkiewicza i innych wymysł pomykania bibulek zamiast komunikantów istniał już wtedy, dwa (!) lata po uniezależnieniu się mariawitów od Rzymu, i był odpieryany jako całkowicie nonsensowny. Uważam, że ta oficjalna wypowiedź dla władz świeckich z czasów, gdy granice pomiędzy rzymskim katolicyzmem i mariawityzmem były jeszcze dość kruche, gdy zdarzały się stosunkowo częste konwersje w jedną i drugą stronę, gdy sprawdzić stan faktyczny było łatwo, całkowicie wyklucza zasadność tego zarzutu. Nie zamierzam się wyklócać z panem Mazurem, czy w pierwszych latach mariawityzmu, gdy istniał on w Kościele Rzymskokatolickim jakieś pojedyncze osoby z mariawickiego grona nie spożywały redemptorystycznych obrazków. Sądzę jednak, że to, czego się on dowiedział od pojedynczych mariawitów, że kiedyś o jakimś pomykaniu bibulek mówiono, odnosi się raczej do nonsensownych zarzutów antyeucharystycznych, którymi usiłowano zohydzić Mariawitów wobec społeczeństwa już w roku 1908.

brat Szczepan

¹ K. Mazur „Praca nad sobą” z. 24, marzec 2002, s 24. i brat Paweł. tamże str.26.

² *Mariawity - Oproszczenie lożnych słuchow o Mariawitach*”, Łódź 1908, Drukarnia ks. Jana Kowalskiego, 168 stron.

Komentarz:

Musimy wyraźnie odróżnić dwie rzeczy: propagowane przez redemptorystów łykanie obrazków z wyobrażeniami Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i imputowane mariawitom komunikowanie przy użyciu bibulek, między innymi bibulek z wyobrażeniami Mateczki. Zapoznawszy się z nadesłaną krótką, ale istotną informacją brata kapłana Szczepana, myślę, że to, co słyszał doktor Mazur od mariawitów, którzy z pomroku pamięci wydobywali tyle, iż kiedyś o łykaniu bibulek z obrazkami coś wśród ich przodków mówiono, dotyczy raczej tego drugiego zarzutu niż pierwszego obyczaju. Pamiętali, że kiedyś ich dziadkowie musieli odpierać takie pomówienia. Pisaliśmy już o tym¹, że w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia mariawici pamiętający czasy Mateczki, znali dobrze zarzut drugi, natomiast nikt ze znanych mi, wówczas żyjących nie wiedział o obrazkach redemptorystycznych. Pamiętam rozmowę na ten temat w Płocku (rok chyba 1954) między bratem biskupem Bartłomiejem Przysieckim, a profesorem Korwin-Pawłowskim, który właśnie przywiózł „wiadomość” o obrazkach z podobizną Mateczki używanych rzekomo przez nas zamiast komunikantów.

Twierdzenie >>Mariawici mają coś wspólnego z łykaniem obrazków!<< Przypomina mi znane powiedzenie >>On ma jakiś udział w złodziejstwie; ukradł, czy też jemu ukradziono...<<

brat Paweł

¹ „Praca nad sobą” z. 18, wrzesień 2000, s. 34 i Ignacy Stobiecki, tamże, z. 19, listopad 2000, s. 23.

=====



LISTY DO REDAKCJI



Refleksja 

Nie jestem mariawitą. Jednak od prawie ćwierć wieku mariawityzm jest sensem mego naukowego, a w dużej mierze także prywatnego życia.

Badając dzieje mariawityzmu przede wszystkim usiłuję ustalić - choć ze względu na trudności z dostępem do źródłowych archiwów, lepiej użyć określenia usiłuję pojąć - dlaczego *Dzieło Wielkiego Miłosierdzia* nie znalazło uznania w oczach ówczesnych biskupów i Stolicy Apostolskiej. Wiele też czasu poświęcam zgłębianiu jego mistycznej Tajemnicy. Być może dla wielu czytelników zabrzmi to pretensjonalnie, ale dumy jestem z tego, że jeden z kapłanów, uznając mój wysiłek badawczy i wiedzę o mariawityzmie, nazwał mnie kiedyś mariawitą honorowym.

Postanowiłem się podzielić tytułową refleksją poniekąd zachęcony, czy może raczej sprowokowany rozmową, którą niedawno odbyłem z księdzem biskupem M. Włodzimierzem i siostrą Pelagią. W którymś momencie dyskusji spytano mnie co sądzę o czasopiśmie mariawickich. Bez namysłu odparłem: *Za dużo w nich przeszłości, historii i za dużo obrazków - za mało tekstów wybiegających w przyszłość.* Owszem, rozumiem, że to miło obejrzeć siebie bądź znajomych w fotoreportażu ze święta parafialnego, lub z biskupiej wizytacji. Jednak są rzeczy ważniejsze od takich przyjemności... Jakże? O tym za moment.

Zawsze, gdy jestem w Płocku odwiedzam Świątynię. Podczas którejś bytności przemierzałem korytarze i mijałem drzwi. Nic, poza odgłosem moich kroków nie mąciło ciszy. Wiele drzwi i stukot moich butów... I wówczas zrodziła się natrętna myśl, która się przerodziła w swego rodzaju dezyderat badawczy: *Jak to się stało, dlaczego ta budowla, niegdyś pełna ludzi, tęmiąca życiem, materialny symbol mariawityzmu, dziś jest właściwie pusta?*

Jest tak wiele drzwi, lecz za nimi mieszka cisza...

Czy Państwo, czytając te słowa, nie mieliście takich myśli? Jeśli nie, to zachęcam do takiej refleksji. Będzie ona - jak ją pojmuję - nie tylko pytaniem o przeszłość, nie tyle szukaniem

sytuacji, czy osób, które mogły mieć wpływ na stan dzisiejszy, co szukaniem drogi do przyszłości.

Mariawityzm miał piękną, heroiczną historię. Zaznał blasku triumfu, ale i łez cierpienia. Trudem i wyrzeczeniami rzesz wiernych, których porwało przesłanie *Dzieła Wielkiego Miłosierdzia* położono fundamenty świątyni, wzniesiono je, wieńcząc ich wieże znakiem Nadziei, Znakiem Zbawiciela. Wybudowano budynki służące prowadzeniu licznych dzieł charytatywnych. Ale też mariawityzmowi nie był oszczędzony ból wewnętrznego rozłamu... O tym wszystkim trzeba pamiętać, ale w żadnym wypadku nie zapamiętywać się. Nie da bowiem realnego ciepła grzanie się w promieniach niegdyś chwały. Nie zaleczy też ran dochodzenie kto był winien i co byłoby gdyby... Przeszłość trzeba badać, dyskutować o niej, ale nie wolno - jak mniemam - czynić z niej osi, wokół której kręci się współczesność...

Za dużo obrazków, za mało treści - to skrót myślowy. Czego mi brakuje na łamach czasopism mariawickich to dyskusji o przyszłości mariawityzmu. Intelktualnego i duchowego „pospolitego ruszenia”, które podejmie próbę określenia swej Misji na najbliższy czas...

Przypomnijcie sobie Państwo ewangeliczną przypowieść o talentach, które pan powierzył sługom. Nagrodę zyskał ten, co depozyt pomnożył (Mat 25;14-30). *Dzieło Wielkiego Miłosierdzia* jest duchowym talentem, którym Opatrzność obdarowała świat. Nie wolno zatem „zakopywać Go pod drzewem”, czekając ponownego Przyjścia Pana. Trzeba Go pomnażać tak w sobie, swej rodzinie, jak i pokazywać Jego wartość tym, którzy bądź o nim nie wiedzą, bądź mają o nim złe zdanie. Pokazywać swym życiem i postępowaniem, by nie rozpuścić się w magmie unifikacji i „byłe jakości”. Także duchowej...

Myślę, że dla odzyskania choćby części dawnego blasku chwały warto (i trzeba) na nowo się zagłębiać w treść Bożego Przesłania, podjąć próbę odczytania Jego jeszcze ukrytych myśli i wskazówek na czas, w którym przyszło nam żyć. Istotą Tajemnicy

jest nie tylko to, że nigdy nie będzie poznana do końca, ale też i to, że trzeba stale z Nią obcować, studiować, być...

Powie ktoś: *I cóż nas poucza ktoś, kto nie jest jednym z nas? Co mu do nas?* Niby nic, prawda, ale mariawityzm to także mój świat i moja sprawa; a czasem z boku lepiej widać... Jeśli jestem zbyt radykalny w swych osądach, jeśli (czego nie wykluczam) popełniłem jakiś błąd w toku rozumowania, proszę powiedzcie, Szanowni Czytelnicy, dlaczego o *Dziele* mocy wielkiej pełnym, ku Któremu ciągnęły tysiące ludzi gotowych do największych poświęceń, dziś wie tylko... dwa procent Polaków? Dlaczego Kościół się starzeje i pustoszeją świątynie? Nie wszystko da się wytłumaczyć postępiami procesów sekularyzacji i konsumpcjonizmu.

Dalej. Nie mały odsetek młodych ludzi godzi się na odejście od mariawityzmu. Nie twierdzę, że czynią to bez refleksji, lekko, ale jednak czynią. *Ona w duchu nadal jest mariawitką* - powiedziała mi matka dziewczyny, która wzięła ślub w rzymskokatolickim Kościele. Czyżby? A jak będzie z wychowywaniem dzieci w tym związku zrodzonych? Czy one też będą duchowymi mariawitami? Czy i ile będą wiedziały o mariawickich korzeniach matki i czy będą z tego dumne? Co będzie dla nich znaczyło określenie „być mariawitą” i jak będą realizować jego treść? Kościół bez młodzieży, to drzewo rosnące na jałowijającej glebie; trwa, ale jak długo?

Moim zdaniem takie właśnie rozważania, a nawet i namiętne polemiki o przyszłości Kościoła powinny (obok rozważań teologicznych i kroniki Kościoła) na stałe zagościć na łamach pism mariawickich.

I na koniec kwestia, która - być może - do głębi dotknie wielu z Państwa. Oto, gdy się podzieliłem powyższymi przemyśleniami z osobami, które się tak jak ja zajmują badaniem mariawityzmu, usłyszałem. *A któż miałby to pisać. Nie ma tam [czyli wśród Państwa] ludzi mających dość chęci i determinacji, by się tego podjąć...*

Oburzyłem się zrazu, ale te słowa wzbudziły we mnie następującą konstatację:

Gdyby rzeczywiście nie było wśród mariawitów osób czujących potrzebę podzielenia się swymi przemyśleniami na temat tego, co duchowo winno być im Najdroższe, to nie sposób nie zadać pytania, co warta jest przeszłość, która nie ma przyszłości; co warto jest dziś, jeśli nie ma przed sobą pewnego jutra?

Krzysztof Mazur

=====

=

DALSZE WYPOWIEDZI nadesłane po zakończeniu SESJI W WOLI CYRUSOWEJ O REGULACH FRANCISZKAŃSKICH I USTAWACH MARIAWICKICH

Istotne źródło franciszkanizmu

Zapoznawszy się z materiałami z sesji zamieszczonymi w 24. zeszyt „Pracy nad sobą” dostrzegam, że brak w niej było czegoś bardzo istotnego. Omówiono tam sprawy organizacyjne Zgromadzenia Mariawitów na tle pierwotnej organizacji zakonu świętego Franciszka. Pokazano, że organizacja mariawicka miała być - zgodnie z objawieniami Dzieła Miłosierdzia - odnowieniem

organizacji franciszkańskiej. Nie powiedziano natomiast czym miała być sama organizacja franciszkańska. Mówiono zgoła tak, jakby franciszkanizm został podyktowany Franciszkowi Serafickiemu przez Pana Jezusa jako coś nowego od podstaw. A przecież objawienie dane Franciszkowi dotyczyło też powrotu do pierwotnej idei i organizacji chrześcijańskiej. Nowe było w nim tylko to, że ta idea miała być teraz wcielona w nowych warunkach historycznych.

Pierwsi chrześcijanie mimo, że zajmowali się swoimi życiowymi sprawami i pracą (Apostoł Paweł wyrabiał namioty) jako najważniejszą sprawę, jako treść życia, uważali służbę Bogu. Reszta była dodatkiem. W Koryncie czy w Efezie budowano prywatne domy. W Jerozolimie, wiedząc od samego Chrystusa, że zostanie niedługo zburzona, sprzedawano nieruchomości i pieniądze dzielono między wszystkich. Niektórzy chrześcijanie czuli powołanie do służby Bogu na miejscu. Inni wędrowali po świecie nauczając Dobrej Nowiny. Niektórzy żyli w małżeństwach, jak apostoł Piotr, który nawet w podróże misyjne zabierał ze sobą żonę (1Kor 9:5). Inni czuli się powołani do celibatu, jak apostoł Paweł. Pierwotne chrześcijaństwo było radosne Zmartwychwstaniem Chrystusa, radosne świadomością zbawienia i nadzieją życia wiecznego. Ta właśnie radość i nadzieja pozwalały, gdy było trzeba, oddać nawet życie za wiarę. Nikt natomiast nie zadawał sobie sztucznie cierpień, umartwień. Owszem, praktykowano posty, bo okresowe odciążenie układu trawienego, dla większego skupienia sił psychicznych, sprzyja skutecznej modlitwie. Nikt jednak nie usiłował się biczować, nosić włosienic, zamykać w klauzurze lub uciekać na stałe na pustynię (okresowo, dla medytacji - owszem). Nie było jakichś zakonników wyodrębnionych ze społeczności wiernych, albo można powiedzieć odwrotnie, że całe chrześcijaństwo było jednym zakonem, a jego regułą była Dobra Nowina o Chrystusie, którą dziś nazywamy Ewangelią.

Potem, po ustaniu prześladowań, a zwłaszcza, gdy chrześcijaństwo stało się religią panującą, przystępowały do niego rzesze ludzi dla których - odwrotnie niż dla pierwszych chrześcijan - najważniejszą sprawą, treścią życia był dobrobyt na tej ziemi, zaś świadomość możliwości zbawienia i życia wiecznego - tylko dodatkiem. W schładzającej się atmosferze chrześcijaństwa wieku trzeciego, a zwłaszcza czwartego i późniejszych, coraz więcej ludzi, dla których sprawa Boża pozostawała jednak ważniejsza od wszystkich innych, wyodrębniło się z ogólnej społeczności. Powstawało życie pustelnicze i klasztorne, w których próbowano odtworzyć pierwotną żarliwość. Wiele dobrych rzeczy można powiedzieć o zakonach. Ich ujemną

stroną było jednak to, że oddalały się od życia społecznego, „od ziemi” i wbrew zamiarom traciły pomatu Bożą radość życia. Skrajnym przykładem tego były osady mnichów słupników. Widzimy ich na starych, wschodnich malowidłach jak żyją w skromnych chatkach na platformach postawionych na słupach. Wszedłszy raz na platformę nie dotykają już ziemi stopą aż do śmierci. Gardzą ziemią, na słupie (ważny symbol!) czują się bliżej nieba. Coś z nastroju osad słupniczych panuje i w innych zakonach. Niektóre zaś zakony stają się zgoła ponurymi szkołami walki człowieka z samym sobą. Życie zakonne odegrało ważną i pozytywną rolę w historii, ale nie udało się mu odtworzyć radości, Radosnej Nowiny - Ewangelii.

I otóż Franciszek z Asyżu na podstawie objawienia (lub jeśli to kto woli tak nazwać - natchnienia) Bożego zrozumiał potrzebę stworzenia społeczności, która przypominałaby społeczność pierwszych chrześcijan. Ich hasłem miało być: Radujmy się Bogiem i jego dziełem - przyrodą, jedźmy co przed nami położą, gardźmy wszelkim bogactwem. Dóbr doczesnych używajmy tylko jako pomocy w pracy na służbie Bożej. Franciszek chciał skupić ludzi o różnych powołaniach szczegółowych. Regułą miała być po prostu Ewangelia. Brat Paweł opisał to w swoim referacie¹, więc nie muszę powtarzać szczegółów. Tę społeczność chciał Franciszek przeciwstawić zarówno chrześcijańskiej społeczności świeckiej, jak i istniejącej wówczas społeczności zakonnej.

Dziś mówimy, że założył zakon nowego typu. Jacques le Goff uważa, że Franciszek z Asyżu nie chciał się sam nazywać zakonnikiem, ani tworzyć nowego zakonu, że zmusiła go do tego zewnętrzna sytuacja i wola papieży rzymskich, której po latach sprzeciwiań w końcu uległ². Ciekawe jest, że ci, którzy skłonili Franciszka do zniekształcenia pierwotnej idei (przyjęcia Ewangelii za regułę życia), a więc papieże Innocenty III, Honoriusz III, kardynał Ugolino (późniejszy papież Grzegorz IX) z zewnątrz, a także brat Elias z wewnątrz społeczności franciszkowskiej byli do Franciszka przyjaźnie ustosunkowani. Psuli, wprost zabijali jego ideę będąc przekonani, że jej pomagają. Uważali, że czynią nowej idei przysługę, upodabniając tę społeczność coraz bardziej do istniejących już zakonów.

Mariawityzm miał być wznowieniem (w zmienionych warunkach!) autentycznego franciszkanizmu, bo franciszkanizm miał być wznowieniem pierwotnego chrześcijaństwa.

Tyle chciałem dodać do rozważań brata Pawła. Ale chcę mu się też przeciwstawić. Pisze on, że obowiązująca do dziś, tak zwana pierwsza reguła franciszkańska z roku 1223 nie ma niczego wspólnego ze świętym Franciszkiem. Jest to zbyt ostro powiedziane. I tę regułę (po nie zatwierdzeniu tej z roku 1221), zlecono ułożyć Franciszkowi. Została ona wprawdzie nie do

poznania „preredagowana” przez brata Eliasza i kardynała Ugolino, jest zupełnie inna od pierwotnej i na pewno nie była dyktowana przez Chrystusa, ale przez papieża. Można o niej wprawdzie powiedzieć, że ma bardzo mało, ale nie, że nie ma niczego wspólnego z Franciszkiem.

były student

¹ brat Paweł *Dzieje reguły świętego Franciszka*, „Praca nad sobą” z.24 s.29 (2001)

² J. le Goff *Święty Franciszek z Asyżu* (tł. J.Guze) Warszawa 2001 rozdział „Braterstwo” s.168

Napłynęły dalsze komentarze do materiałów z sesji w Woli Cyrusowej. Będziemy je zamieszczać w kolejnych zeszytach naszego aperiodyku.

ZAWARTOŚĆ ZESZYTU

brat Paweł - **Modlitwa wewnętrzna i zewnętrzna** - s.1

Tomasz Mames - **Moleben** - s.4

Siostra Adela - **Na chrzcie świętym...nadane zostały dwa imiona Feliksa**

brat Józef - **Etos kapłaństwa** - s.8

[**Magdalena** -

s.5

Marek Suder - **Ty nie jesteś** - s.28

Jan Jasnorzewski - **Bardzo ładnie, ale nie ekumenicznie** - s.29

DWUGŁOS O ARCYBISKUPIE JANIE M. MICHALE KOWALSKIM:

Ignacy Stobiecki - **Rozważania w rocznicę śmierci** - s.13

brat Paweł - **Pomówmy o „nowościach” arcybiskupa Michała** - s.22

RECENZJE, POLEMIKI:

brat Szczepan - **Jeszcze raz o łykaniu obrazków** - s.32

brat Paweł - **Komentarz** - s.33

LISTY DO REDAKCJI:

Krzysztof Mazur - **Refleksja** - s.34

DALSZE WYPOWIEDZI PO SESJI - O REGULACH

FRANCISZKAŃSKICH I USTAWACH MARIAWICKICH:

były student - **Istotne źródło franciszkanizmu** - s.37

P

RACA nad sobą - aperiodyk mariawicki. Dostępny tylko w

prenumeracie. Ukazuje się nieregularnie w miarę napływu materiałów. Dla Zgromadzenia Mariawitów wydaje firma handlowo usługowa ELWIT w Rzeszowie. Redaguje: kolegium. Redaktor wykonawczy: brat M. Paweł Rudnicki. Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Adres redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m. 14 - 31-049 Kraków. Prenumerata redakcyjna, obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty wynosi 16 zł, lub pięć kolejnych zeszytów - 20 zł. Należność należy przesyłać *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (o wartości nie większej niż 1,10 zł) podając dokładny adres nadawcy, Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu czterech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, druku, lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już wcześniej prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Wysokość prenumeraty zagranicznej pocztą zwykłą wynosi 10 euro lub ich równowartość za 5 kolejnych zeszytów. Za wysyłkę pocztą lotniczą wysokość opłaty podajemy na zapytanie w zależności od kraju. Wpłaty z zagranicy należy przysyłać międzynarodowymi przekazami pod adresem redakcji. Dla uniknięcia nieporozumień osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.

=====